

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. | Kraków, 31 marca 1906 r. | Nr. 13.

Pieniądze albo życie!

(Treść na stronie 2).

Treść Nr. 13: Tu przysięgał Kościuszko. — Zgon zasłużonego działacza. — Liczył gwiazdy nad Krakowem. — Warszawscy redaktorowie pod sądem. — Prawybory chłopskie w Królestwie Polskiem. — Przyczynek do historyi Maryawitów. — „Pawiak“ warszawski. — Zabity naczelnik powiatu. — Profesor jakich mało. — Zapasy atletów w Warszawie. — Zakazane obrazy. — Dygnitarze naszego kolejnictwa. — Kursa buchalteryi dla krakowskich rękodzielników. — Morderczy zamach we Lwowie. — Kółka rolnicze w powiecie lwowskim. — Niemcy ratują Francuzów. — Wojna z wrogami republiki. — Ofiary wampirów. — Zbrodnia za zbrodnią. — Plotki lwowskie itd. itd.

Od Administracyi!

Z powodu ukończenia pierwszego kwartału prosimy wszystkich P. T. Abonentów, o jaknajrychlejsze odnawianie dalszej prenumeraty, a to celem uregulowania nakładu pisma. Wszyscy nasi Abonenci, którym prenumerata z niniejszym numerem już się skończyła, otrzymują wewnątrz numeru przekaz pocztowy.

Prenumerata **kwartalna** wynosi już wraz z przesyłką pocztową tylko **4 kor.**; — w Królestwie Polskiem bez odsyłania **1 Rbs. 80 kop.**, z przesyłką pocztową **2 Rbs. 60 kop.** — W Galicyi należy przesyłać prenumeratę wprost do centralnej administracyi naszego pisma

Kraków, Zacisze 7.

w Królestwie Polskiem do biur **G. Ungra, Warszawa,** Wierzbowa 8, lub Aleje Jerozolimskie 78.



Pieniądze albo życie!

(Do illustracyi tytułowej).

Scena wyobrażona na rycinie, zajmującej pierwszą stronę niniejszego numeru, jest najwymowniejszą illustracyą ogólnej charakterystyki stosunków, w jakich dziś żyje Warszawa. Poza polityczną stroną życia mieszkańców stolicy Królestwa Polskiego, jedyną ich troską jest w tej chwili istotne niebezpieczeństwo życia i mienia, grożące wszystkim o każdej godzinie dnia i nocy. Człowiek, który wśród powszechnej nędzy, panującej dziś niemal we wszelkich sferach miasta, ma jeszcze pieniądze w poważniejszej ilości lub cokolwiek innego, znaczną wartość przedstawiającego, niema chwili spokoju w domu czy w interesie handlowym, na ulicy, czy w biurze bankowem, w sklepie, czy w kantorze... Niema dnia, żeby dzienniki warszawskie nie wypisywały całych, coraz to nowych litanii osób, domów, handlów, biur itp., w których w ciągu ostatniej doby zdarzyły się napady bandytów. Poprostu życie w Warszawie mało się dziś różni od przebywania w środowisku dzikich. Podobnie jak tam, wpada do sklepu gromada ludzi i grożąc śmiercią w razie oporu lub tylko wołania o pomoc, porywa pieniądze wymuszone, albo rabuje wszystko, co wziąć warto i umyka bezkarnie, żeby z równem powodzeniem powtórzyć zamach podobny nazajutrz gdzieindziej. Co jednak najgorsza, że kiedy zrazu w strachu o swoje kasy lub kosztowności bywali jedynie ludzie zamożni, fabrykanci, oraz banki i handle najbogatsze, teraz już bandyci nie oszczędzają nawet średnio zamożnych, wreszcie ludzi z trudem wiążących koniec z końcem w swoich interesach handlowych....

Dość powiedzieć, że na porządek dzienny wchodzą dziś w Warszawie wypadki tego rodzaju, jak zillustrowane tu przez nas, świeże zdarzenie na ul. Świętokrzyskiej między Marszałkowską a Nowym Światem. Do składu wędlin Władysława Koziarskiego wchodzi jakiś podejrzany człowiek, żądając serdelka, lecz przy tej okazyi tak badał wszystkie szczegóły wnętrza masarni, że to musiało zaraz zwrócić uwagę właścicielki, siedzącej za kasą. Toteż gdy za chwilę, korzystając z braku kupujących, wpadło do sklepu trzech bandytów, między tymi i ów nabywca serdelka, pani Koziarska od razu zoryentowała się o co idzie, zwłaszcza, że jeden rzucił się z miejsca na pannę sklepową, by ją skrępować. Ledwie jednak właścicielka krzyczeć zaczęła z za kasy, gdy już padł strzał rewolwerowy, który ją śmiertelnie ugodził w same piersi, a wówczas trzeci z bandytów porwał z szuflady całą zawartość kasy w srebrze i miedzi, z czem ulotnili się wszyscy. A wiecie, ile tam było pieniędzy — jak się okazało z późniejszych obliczeń właściciela masarni: może około pięciu rubli drobnemi...



Aparatem „Nowości Illustrowanych“ fot. W. Lis.
Tu przysięgał narodowi Kościuszko: Obchód 112-ej rocznicy przysięgi Tadeusza Kościuszki w Krakowie; po nabożeństwie patryotycznem w kościele Maryackim, w południe 24 marca, dziatwa otacza ozdobiony świeżym wieńcem kamień pamiątkowy na Rynku, w miejscu, gdzie Naczelnik składał przysięgę.

Tu przysięgał narodowi Kościuszko...

Cudzoziemiec znalazwszy się na Rynku krakowskim, przejdzie obojętnie naprzeciw wylotu ulicy Szewskiej, nie zwracając uwagi — z braku jakiegokolwiek ogrodzenia, czy kraty ozdobnej — na mało od reszty bruku odznaczający się, duży kamień prostokątny z wyrytym napisem:

„Na tem miejscu Tadeusz Kościuszko przysięgał narodowi dnia 24. marca 1794“...

Krakowianin trafiłby w to miejsce i po omacku, choćby śnieg zasypał Rynek cały. Polak skądinąd do Krakowa przybyły, w pierwszej godzinie pobytu w tem mieście pyta i szuka, gdzie jest ono miejsce święte... W tak wielkiej bowiem pamięci pozostała narodowi naszemu od wieku uroczysta chwila przysięgi Kościuszki.

Toteż słusznie w każdą rocznicę pamiętnego dnia 24-go marca młodzież patryotyczna po nabożeństwie solennem zbiera się dokoła kamienia Kościuszki na krakowskim Rynku, by tu chórem zaśpiewać hymny skarg i pieśni nadziei.



„**Pawiak“ warszawski**: Widok ogólny słynnego więzienia przy ul. Pawiej w Warszawie do którego niedawno wtargnęli rewolucyoniści i trupem położywszy odźwiernego, uwolnili jednego z towarzyszów z celi, poczem zbiegli bez szwanku. (Fot. dla „Nowości Ill.“ Nemo w Warszawie).



Profesor jakich mało: Osławiony prof. Baziner z uniwersytetu warszawskiego, który na ochotnika pełnił funkcye manipulacyjne na poczcie w Warszawie w czasie strejku urzędników pocztowych i telegraficznych; klub „prawdziwych“ Rosyan pragnąłby go mieć posłem z Warszawy do Dumy.

Tak było i w tym roku. Więc umyślnem zdjęciem fotograficznem upamiętniliśmy piękną chwilę, gdy kamień pamiątkowy, świeżym wieńcem z szarfami ozdobiony, otacza grupa dzieci, wracających w słoneczne południe po nabożeństwie z kościoła Maryackiego. Niejeden z Czytelników naszych poza Krakowem dopiero z naszej ryciny dowie się, jak wygląda dziś miejsce, gdzie przed 112 laty przysięgał narodowi Kościuszko.

Tutaj znów wieczorem, mimo deszczu, zgromadziła się na manifestacyę patryotyczną liczna młodzież szkolna przy barwnych lampionach z orłami polskimi, widocznych na drugiej naszej rycinie, według fotografii zdjętej przy świetle sztucznem.

„Pawiak“ warszawski.

Głośny w ostatnich czasach śmiałem wtargnięciem zbrojnem dwu rewolucyonistów „Pawiak“ warszawski — jest to wielki dwupiętrowy, murem wysokim obwiedziony gmach więzienny położony na krańcu żydowskiej dzielnicy Warszawy przy ul. Pawiej, od której też nazwa jego pochodzi.

Strzeżony dniem i nocą strażami na dziedzińcu, do którego prowadzi jedna brama, mieści on setki więźniów, odsyłanych tu po wstępnem śledztwie, przeprowadzonem naprzód w więzieniach śledczych w ratuszu.

Ciemno niebieskie jego dachy i takież kosze przy oknach odbijają dziwnie ponuro od białych murów.

Pod ten „Pawiak“ ciągnęły masy ludu w d. 4-ym listopada, tego samego wieczoru, kiedy na placu Teatralnym odbywały się pamiętne krwawe wypadki. Tłumy podeszły wówczas i pod „Pawiak“ z żądaniem uwolnienia więźniów.

Niedawny fakt wtargnięcia dwu rewolucyonistów do wnętrza dziedzińca, gdzie trupem położyli odźwiernego, a sami uprowadzili z celi więziennej towarzysza i bez szwanku zbiegli z nim razem — zwrócił baczniejszą uwagę władz na „Pawiak“ i spowodował zarządzenie większych ostrożności, ileże już przedtem na jakie dwa tygodnie zbiegło stamtąd kilku więźniów, z których jeden technik S. bawiący teraz we Lwowie, uniósł ze sobą ciekawe wspomnienia tak z „Pawiaka“ jak i z cytadeli, gdzie przed 3-ma blisko laty ślub wziąwszy z narzeczoną, pożegnać musiał żonę, nie mogącą mu towarzyszyć w dalszą drogę zsyłki na Syberyę. Powróciwszy stamtąd po 2 latach do Warszawy, wkrótce został znowu aresztowany za działanie rewolucyjne i osadzony na „Pawiaku“, skąd z 6-ciu towarzyszami cało umknął i przedostał się przez granicę do Galicyi.

Czy po tych ostatnich udadzą się jeszcze podobne ucieczki? Obie ilustracye przedstawiają „Pawiak“ jedna w całej jego wielkości, druga zaś od strony bramy wejściowej, gdzie codziennie koło godziny 10-ej napływają nieustannie matki i siostry uwięzionych, przynoszące dla nich w tobołkach bieliznę, żywność itp. Tu przed bramą wyczekują na swą kolej, tłocząc się nieraz w dużym ścisku, szczęśliwe, kiedy wreszcie straż więzienna odbierze przyniesione przedmioty dla doręczenia ich „najdroższym“. *B-t.*

Profesor jakich mało.

Nieznany do niedawna po za dziedzińcem uniwersytetu warszawskiego profesor Baziner zasłynął niespodzianie i to bynajmniej nie jakiemś naukowem odkryciem, ani też dziełem specyalnem, ani wykładami uczonemi na katedrze, ale w... urzędzie pocztowo-telegraficznym(!), gdzie w czasie strejku urzędniczego „na ochotnika“ wstąpił i z niebywałem poświęceniem spełniał najniższe funkcye manipulacyjne przy sortowaniu listów i przesyłek pocztowych!

Zadziwił tem wszystkich a jakkolwiek nie zdobył ani wyrazu uznania ogółu ani odznaczenia rządowego, niemniej poczuł w sobie od tego czasu żyłkę do... polityki. Z całym też zapałem rzucił się do agitacyj w duchu polityki nieprzyjaznej Polakom, przyczem tak był niezmordowanie czynnym i wszędobylskim, że jak o Figarze można było o nim powiedzieć: „Baziner tu, Baziner tam“.

Na zebraniach „prawdziwych“ Rosyan w klubie rosyjskim sypał wnioskami, rósł w znaczenie, jako filar staonnictwa, wreszcie już i kandydat na posła do Dumy, aż wreszcie pojechał na zjazd narodowców do Moskwy: tu zdębiał i ochłonął, gdy wsteczne jego i towarzyszy zasady odrzucono jako takie, które „z kretesem zbankrutowały“.

Wrócił więc z Moskwy niepocieszony, jak to widać na załączonej podobiznie. *B-t.*



„Pawiak“ warszawski: Słynne więzienie przy ul. Pawiej w Warszawie; widok od strony bramy wejściowej, dokąd cisną się matki, siostry i żony więźniów z żywnością i bielizną, czekając swojej kolei, aż straż odbierze od nich tobołki. (Fot. dla „Nowości Ill.“ Nemo w Warszawie).

Aparatem „Nowości Illustrowanych“ fot. W. Lis (zdjęcie wieczorne przy świetle sztucznem).

Tu przysięgał narodowi Kościuszko: Obchód 112-ej rocznicy przysięgi Tadeusza Kościuszki w Krakowie; mimo deszczu, młodzież patryotyczna z kolorowymi lampionami z orłami polskimi, zgromadzona na Rynku krakowskim nad kamieniem Kościuszki, o wpół do siódmej wieczorem 24 marca, śpiewa hymny narodowe, przed wyruszeniem w pochód do „drzewa wolności“ na plantach.

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

1

Tajemniczy gość w pałacu.

Ulicami Warszawy przesuwają się tłumy ludzi po chodnikach, a pośrodku nich toczą się w obie strony sznury powozów, dorożek i platform handlowych. W mrowisku ludzkiem wymijają jedni drugich obojętnie; tym się śpieszy, tamci odbywają codzienną przechadzkę, inni wreszcie włóczą się bez celu. Ot, jak w dużem mieście.

Między fale eleganckiej publiczności na Krakowskiem Przedmieściu wcisnął się naraz jakiś człowiek z przedmiejskich zaułków. Szedł śpiesznie, rozpychając ludzi kościstemi łokciami — i o tyle zwracał kto na niego uwagę, o ile został przezeń potrącony. Gdyby był jednak o tej porze mniejszy ruch panował na ulicy, przybłęda ten w środowisku wytwornem musiałby straszyć przechodniów swą dziwaczną a odrażającą postacią.

Drab mocny, jakkolwiek wzrostem nie imponujący, krępy, w jakiejś wytartej kurtce z podgiętym w górę kołnierzem, w zabłoconych butach wysokich — nie zważał wcale na opryskliwe uwagi potrącanych przechadzkowiczów, dążąc szybko przed siebie. Niekiedy tylko błysk złości ciskał z oczu siwych, ogromnych, na wierzch mu wyłażących z pod brwi krzaczastych. A wtedy wykrzywiała się twarz jego płaska, śladami ospy rozorana, gęsto pokiereszowana, z czołem dziwnie niskiem, które czapka całkiem zakrywała. Twarz ta była tak odrażająco wstrętna i tyle z niej wyzierało najpodlejszej nikczemności, że kto nie chciał — musiałby w tej podejrzanej figurze przeczuwać ludzkiego potwora.

Gdyby go był kto wszakże śledził w tej chwili, nie mógłby był nie zauważyć, iż rozpychający tłum w ciaśniejszych miejscach, dba on wielce o jakiś nieznaczny ciężar, który niesie to w jednej, to znów w drugiej ręce, w szczelnem zawiniątku, a na którym wiele musi mu zależeć, skoro nie zwalniając pośpiesznego kroku, tak zręcznie wymija przechodniów, iż nie zdarzyło się ani razu, by mu ktoś potrącił tajemniczy pakunek.

Dowiemy się za chwilę, co zawiera owo zawiniątko cenne. Przystanął on bowiem właśnie na Placu Trzech Krzyży w przestronym kącie pod kościołem św. Aleksandra i plecyma odwróciwszy się do gromadki przechodniów, głośno rozmawiających między sobą — tuż pod murem kościelnym coś przez chwilę manipulował około swego zawiniątka, wreszcie nachylił się nad niem, jak gdyby zazierał do środka...

Aliści po upływie kilku minut już się zmieszał z tłumem. Widzimy go, jak dalej śpiesząc nawet coraz żywiej, zmierza w Aleje.

Zatrzymał się nakoniec przed jednym z pałaców Rozejrzał się wokoło i zdawał się czekać, aż go ominie kilka par, snujących się tamtędy chodnikiem. Spojrzał jeszcze z podełba w stronę powozów, które właśnie gumowemi kołami przemknęły lekko po drewnianym bruku ku Łazienkom, poczem, gdy nikt w tej chwili obok niego nie przechodził — postąpił ku bramie i zadzwonił gwałtownie.

Odźwierny wygolony, w liberyi czarnej, jak karawaniarz, zastąpił mu drogę.

— Powiedzieć jaśnie panu, że przyniosłem...

Tych parę słów, rzuconych brutalnie od progu czarnemu lokajowi, ułatwiło mu od razu wejście do pałacu, w którym przybysz dziwny wyglądał doprawdy, jak zbój z lasu na salonowej posadzce, mimo, że w ubraniu jego nic nie świadczyło bynajmniej o nędzy, przeciwnie, człowiek ten sprawiał wrażenie jakgdyby nigdy braku środków nie zaznał i każdej chwili mógł ubrać się nawet dostatnio, gdyby mu tego było potrzeba.

Brama zamknęła się za nim, czarny lokaj zniknął w głębi, a gość tajemniczy ze swem cennem zawiniątkiem na ręku zwrócił się wprost w stronę klatki schodowej.

Przystanął u stóp jednego z dwu kosztownych kandelabrów, stojących jak na straży u wnijścia na schody marmurowe, grubym chodnikiem miękkim kryte, które wiodły pod górę wśród licznych złoceń, rzeźb i kwiatów, otaczających ogromne zwierciadła i bajeczne malowidła.

Z pogardą spoglądał przybysz, czekając w klatce schodowej, na olśniewające bogactwa, które mu widocznie nie imponowały. Już miał zniecierpliwiony wzrok cisnąć ku górze, gdy stamtąd właśnie doleciał go jakiś szelest. Więc ruszył się tylko od kandelabra, o który był oparty — i wszedł na schody.

W tej chwili zbiegał po nich ku niemu oczekiwany gospodarz domu, starszy mężczyzna, wysoki, pełen wytworności arystokratycznej w ruchach, z twarzą wszakże niezwykle surową, otoczoną siwemi bokobrodami, jak u angielskiego lorda — i z jakiemś demonicznem spojrzeniem pięknych oczu.

Książę wyciągnął obie ręce w stronę gościa w zabłoconych butach, sięgając chciwie po spore zawiniątko, które mu ten wręczał w milczeniu. Przez usta pańskie przeleciał niechcąco jakiś tajemny błysk radości, mimo, że z oblicza jego ani na mgnienie oka nie uleciała powaga.

Odebrawszy z rąk przybyłego to, na co widocznie czekał z niecierpliwem upragnieniem, rzekł książę spokojnie:

— Po trupa tego dziecka przyjdziesz do pałacu po północy... Trzeba będzie gdzieś cicho pogrzebać... Gdyby jednak nie było cię potrzeba, dowiesz się wtedy o tem już w bramie.. Zapłaciłem cię z góry, a tu masz jeszcze za milczenie...

Co mówiąc, podał mu książę zwitek tęczowych banknotów, z którym tajemniczy gość zniknął natychmiast z pałacu, znalazwszy się równie szybko za bramą — jak książę w głębi swoich pokojów z zamatulonem dzieckiem na ręku.

Przypadkowe spotkanie.

Drobny deszcz padał od rana; przenikająca wilgoć wyziębiła powietrze. Ludzie umykali coprędzej, by znaleść się w suchem miejscu. To też ruch zmalał na ulicach, po których uwijały się tylko liczne dorożki z podniesionemi budami, lśniącemi od deszczu jak kalosze.

Błyszczał też niby tafla szklana, mokry bruk asfaltowy na Mazowieckiej, gdzie co chwila zdrożony koń jakiegoś marniejszego dryndziarza pośliźgiwał się fatalnie. Właśnie padła biedna szkapa opodal dużej latarni, naprzeciwko wylotu ulicy hr. Berga, co na chwilę wstrzymało długi korowód objuczonych walizami dorożek i omnibusów hotelowych, które z Erywańskiej przewoziły o tej porze mnóstwo podróżnych od strony dworca Wiedeńskiego na Krakowskie do hotelów lub na Pragę do dworców kolejowych po drugiej stronie Wisły.

Parę głośnych wykrzykników stójkowego, który nadbiegł od Królewskiej, przywróciło przerwaną na małą chwilkę komunikacyę, ale już spora gromadka przechodniów otoczyła miejsce wypadku. Gapiono się na dyszel złamany u dorożki i na dryndziarza, który, zrzuciwszy z siebie ciążący mu widocznie płaszcz granatowy, wziął się do mozolnej roboty, jaką było podźwignięcie wywróconego na wznak konia. Szło to opornie, zwłaszcza, że mokry asfalt był śliski, a biedne zwierzę bezsilne. Stójkowy naglił tembardziej, że gawiedź tworzyła coraz wieksze zbiegowisko. Dorożkarzowi przyszło z pomocą paru posłańców, sterczących przed narożną cukiernią Szwajcarską. Zziajany i zabłocony przy swych daremnych wysiłkach dorożkarz widocznie zniecierpliwił się wreszcie, ujrzawszy zbliżającego się rewirowego — i ze złością kopnął w brzuch nieszczęsną szkapę, której całą winą było to jedynie, iż nie mogła tak łatwo wstać odrazu na cztery nogi i ślizgała się dalej po mokrym asfalcie.

Ujęli się zaraz za nią ludzie, otaczający miejsce wypadku, a dominował nad tłumem stentorowy głos tęgiej tuszy aktora, o wspaniale charakterystycznej twarzy, który wypadłszy właśnie z cukierni, gdzie na gazetach siedział „w szybie“, zaczął surowo gromić policyanta w zmoczonej pelerynie ceratowej, że zamiast pomódz nieporadnemu dryndziarzowi, patrzy obojętnie, jak ten katuje zwierzę.

— Słusznie, słusznie — odezwało się parę osób.

— Jak można bić jeszcze biednego konia — dorzuciła głośno wzburzonym tonem jakaś panienka o ładnej twarzy, na którą prawie nikt nie zwracał uwagi, ponieważ wdzięki jej nikły przy ubogiej sukience, wytartym żakieciku i skromniutkim, zbyt długo już noszonym kapeluszu. Gdyby nie wyglądała tak zbiedzona, na pewne znajdujący się w tłumie mężczyzni nie odrywaliby od niej wzroku, tyle prawdziwego piękna było w tej smukłej postaci młodziutkiej dziewczyny, o dojrzałych, bujnych kształtach, z prześlicznie narysowaną główką w djademie ciemnozłotych pukli włosów.

Tymczasem dziś nie uważał nikt z lowelasów ulicznych na drżącą z zimna w dziurawych trzewikach i przemokłą doszczętnie na deszczu bez parasola.

A jednak, gdy się teraz odezwała, ze współczuciem spoglądając na borykającego się na bruku konia, zbliżył się do niej natychmiast jakiś przystojny blondyn i kłaniając się uprzejmie, podał jej rękę na powitanie. Panienka spojrzała nie bez zdziwienia. Przed nią stał mężczyzna rosły, pięknie zbudowany, wyglądający na trzydziestkę, mimo, że nie miał więcej nad lat dwadzieścia sześć, o szlachetnem spojrzeniu głęboko osadzonych oczu błękitnych, z krótko przystrzyżoną bródką jasną przy pociągłej twarzy, pełnej męzkości. Z pod uchylonego kapelusza wyzierała gęsta czupryna, w naturalne loki pokręcona..

Na jego widok zapłoniło się dziewczę; cudny rumieniec nagle ożywił twarz jej mizerną, na którą w tej chwili ostry wiatr sypnął duże, mokre płaty białe, deszcz bowiem w śnieg zamienił się kapryśnie. Długie rzęsy spuściła na ciemne oczy szafirowe, gdy przyjmując uścisk jego ręki, szepnęła cichym, mile brzmiącym głosem:

— Aa, panie doktorze... poznaje mnie pan jeszcze?

— Naturalnie. Jakże się Marylce powodzi.... przepraszam.... pannie Maryi.

Łzami zaszły źrenice dziewczęcia jakoś mimowoli, zwarły się mocno wargi różowe, a koniec zaokrąglonej bródki zatrząsł się, jakgdyby jakiś niedostrzegalny dreszcz przeszedł po całem jej ciele. Musiał to zauważyć mężczyzna, któremu nie odpowiedziała nic na pytanie; wcisnął więc rękę pod ramię panienki i wyprowadził ją z tłumu otaczającego dorożkę.

— Odprowadzę panią kawałek drogi.

Poszli razem Mazowiecką w stronę Placu Dzieciątka Jezus. Przez krótką chwilę milczeli oboje. Towarzysz jej odkłonił się jakimś panom, którzy mu przyjaźnie kiwali głowami od stołu za oknem u Wróbla i na pewne przerwali sobie jedzenie, nie mogąc się wydziwić, co ma znaczyć przechadzka doktora Anielskiego pod rękę z jakąś ubogą panienką. Ten jednak nic sobie z tego nie robił, troskliwie parasolem osłaniając przed mokrym śniegiem swoją towarzyszkę, która czuje się nieco zażenowana w szczególności swojemi dziurawemi trzewikami, mimo, że doktor ani myśli zważać na fatalne szczegóły jej niemodnej i nie nowej toalety. Nachylił się wreszcie ku niej, pytając dyskretnie:

— Czy zawsze jeszcze panna Reman? Nic się nie zmieniło?

Zaprzeczyła ruchem głowy, lecz nadal milczała, mrużąc powieki drażnione płatkami śniegu.

— Przeszło rok pani nie widziałem, panno Maryło. Wyobrażałam sobie, że pani już dawno wyszła za mąż.... Nie pogniewa się pani, gdy o coś zapytam, staremu przyjacielowi godzi się to wybaczyć.... Czy... dziecko żyje?

— Owszem, panie, chowa się — wykrztusiła nie bez trudu, spuszczając oczy, jak gdyby pragnęła uniknąć spotkania się ze wzrokiem pytającego.

— Ma je pani przy sobie, nie? Czy to była dziewczynka, nie mogę sobie przypomnieć..

— Ach panie doktorze, co ja przeszłam, niech ręka Boska broni... nie wiedziałam doprawdy co począć. On...! on... Ja go, panie, tak gorąco kochałam, pan przecie wie... on mnie opuścił, porzucił, nie chciał o mnie słyszeć, ile razy go prosiłam, żeby się troszczył przynajmniej o dziecko, jeśli już nie o mnie. Zaklinałam go na wszystkie świętości daremnie, słyszeć nie chciał o dziecku, ani myślał zająć się jego losem.... Co za wstyd, mój Boże, co za hańba dla mnie, niech pan doktor pomyśli, on śmiał mi powiedzieć, że dziecko nie było jego..... Jezus Marya! taki wstyd, panie, on się poważył mnie po tem wszystkiem ciskać w oczy podobne zarzuty, wyobraź pan sobie; co ja przeszłam przez niego, com się nacierpiała, powtórzyć panu nie umiem. Niech mi się pan doktor nie dziwi, cóż ja biedna miałam począć... Musiałam dziecko oddać od siebie, musiałam się z niem rozłączyć może na zawsze, Bóg jeden wie, takie, panie, nieszczęście. Ogłoszenie wyczytałam w „Kuryerze“.... i odstąpiłam dziecko całkiem.... małżeństwo pewne, bezdzietne.... musiałam, panie doktorze.

— Ale są w Warszawie ci ludzie, mieszkają tu taj? Możesz pani dziecko widywać niekiedy.....

— Gdzietam, panie drogi.... Mieszkali na Pradze, aż na Szmulowiźnie. I niech sobie pan wyobrazi, zniknęli raz stamtąd jakoś tak dziwnie, niespodziewanie. Szukałam naprózno. Wreszcie parę osób zaczęło mnie zapewniać, że się przeprowadzili na Powiśle. Przeszukałam i tam wszystkie kąty: jak kamień w wodę, przepadli mi całkiem.

— Jakto, nawet przez biuro adresowe w ratuszu nie poradziła sobie pani z tym fantem, przecież nie sposób, żeby byli nie meldowani.

— Alboż ja wiem, panie doktorze. Teraz mnie sąsiedzi ich dawni z Łochowskiej zapewniają, że ci ludzie całkiem się z Warszawy wynieśli, powiadają, że do Ameryki wyjechali i naturalnie dziecko zabrali ze sobą... To los, mój panie drogi! Co mnie ten człowiek zdrowia ukradł i tak się jeszcze ze mną obszedł strasznie.

— A czyż nie miała pani nikogo życzliwego, ktoby się był ujął za paniną krzywdą? Czemuż go pani nie zaskarżyła?

— Ja miałam go skarżyć... doktorze... jakże mogłam, wszak ci to moja byłaby hańba, Boże, wstyd taki publicznie.

— Wybacz mi pani, panno Marylo, ale jak mi się zdaje, nie ma pani dość zaufania do starego przyjaciela; nie chce pani, jak widzę, zwierzyć się przedemną ze wszystkiego szczerze, prawda? nie wszystko mi pani powiada, może pani coś tai... A jak pani to rozumie... taki wstyd, hańba... co uważam, powtórzyła pani kilkakrotnie z naciskiem niezwykłym i z takim bólem zarazem, jak to dostrzegłem... Niechże się pani nie krępuje i mówi ze mną otwarcie. Wyznaj mi pani wszystko, co ci leży na sercu: lżej pani z tem będzie, zobaczysz, a ja może coś zaradzić potrafię, gdy będę wiedział wszystko.

— Owszem, pan powinieneś poznać całą prawdę, mój poczciwy doktorze. Widzi pan, mnie to mówić trudno, jakoś nie chce mi to samo przechodzić przez usta, takie to bolesne i przykre... A z drugiej strony nie chcę znów nic przed panem zataić... tak się zwierzam jakby na spowiedzi... Widzi pan... byłam w ciężkiej potrzebie, źle mówię, poprostu w biedzie byłam... a on przychodził do mnie, przychodził i... A kiedy odemnie odchodził... Boże mój, nie mogę, nie wiem doprawdy, gdzie mam oczy podzieć przed panem, a doktór tak na mnie patrzysz... więc powiem: ile razy odchodził on odemnie, uważa pan, pieniądze mi zostawiał, dawał mi pieniądze... płacił za miłość, on to pieniędzmi opłacał, panie doktorze, słyszy pan — prawie z łkaniem wybuchnęła, ręką twarz sobie zakrywając. — Rozumie pan, co to znaczy, a on... on mi to potem wyrzucał właśnie, groził mi tem wówczas, gdym się upominała, by się zajął losem dziecka... panie, gorzej, on mi się odgrażał policyą... czy pan słyszy... zagroził mi donosem do policyi!

— Co za nędznik! — padło z ust doktora Anielskiego!

— Niech go pan nie potępia, ten człowiek stoi tak wysoko, o tyle wyżej odemnie, cóż ja, panie drogi... ja muszę to wszystko znieść... Cóż ja, wobec niego... Raz się stało w przeklętą godzinę i po wszystkiem!

— Biednaś ty, panno Marylo, doprawdy, żal mi pani bardzo, serdecznie mi żal i boleję nad tem, że nie wiem sam, co pani poradzić, jak pani pomódz. A jednak coś trzeba zrobić, jakoś trzeba przecież zaradzić... Co to? jużby było tak późno — przystanął naraz doktor, spojrzawszy na zegar, zwisający przed sklepem zegarmistrza ponad chodnikiem w ulicy Marszałkowskiej. — Przepraszam panią, ale się śpieszę bardzo, wskoczę tu do tramwaju. Pozwoli mi pani odwiedzić się w domu, to byśmy pogadali jeszcze, no, staremu przyjacielowi to wolno chyba?

— A czyż mogłabym wymagać tego od pana doktora.

— Przyjdę, gdzież pani mieszka?

— Na Chmielnej, panie, ale daleko, aż blisko Żelaznej i to na czwartem piętrze.

— Nic nie szkodzi, wkrótce panią odwiedzę — i podał rękę Marylce na pożegnanie, ona mu zaś ścisnęła ją gorąco, wymieniając jeszcze numer domu i mieszkania. Poczem wślizgnął się między pędzące dorożki, żeby dogonić uciekający mu wóz tramwajowy, za którym pobiegło pełne niewymownej wdzięczności spojrzenie załzawionych oczu szafirowych Maryli Reman.

W ciężkiej walce.

Przez szybę parterowego okna spogląda na Jerozolimską młoda kobieta, o twarzy przedziwnie bladej, a niezwykle pięknej przy czarnych włosach, wiecznie rozwichrzonych nad czołem, mimo najstaranniejszego uczesania. Bladości jej lic nie ożywia nawet ponsowy penioar, wolny, powłóczysty, w którym nikną szczupłe a przecudnie utoczone kształty jej smukłej, wiotkiej postaci wyniosłej.

Gdyby kto z przechodniów podniósł wzrok w tej chwili w górę, ku wysoko umieszczonemu oknu, przywidziałby mu się, w ramach z ciężkich firanek i kwiatów egzotycznych, obraz jakiegoś znakomitego mistrza z pierwszorzędnej galeryi.

Lecz piękna pani wcale nie widzi przechodniów, patrząc na pozór w ulicę, zajęta swojemi myślami. To też czarne oczy aksamitne przesłania niby mgła niewidzialna, a chmurki cierpień szczerych osiadły na bladem, dumnem czole, które oparła rozpalone o chłodną szybę...

Jakiś wielki żal rozpiera jej piersi falujące. Wreszcie wargi zadrżały bolesną skargą, która mimowoli wydarła się z pod serca:

— O mój Boże! jak ja mu to powiem, jak ja mu mogę to powiedzieć... Temu najlepszemu na świecie człowiekowi... ja miałabym... Nie... z nim się rozłączyć, nasze dziecko opuścić i jego... Wszystko, tylko nie to, nie mogę, nie potrafię! Ciebiebym miała, Jasienku, porzucić, odejść od ciebie...

I zerwała się od okna z rozpaczą, idąc na środek pokoju, z załamanemi nad głową rękoma, gdy w otwartych drzwiach zjawił się przedmiot je myśli smutnych.

Rzuciła się z płaczem w ramiona mężczyzny, który zaczął koić ją, tuląc do piersi, jak dziecko.

— Ciebie miałabym opuścić, Jaśku, rozłączyć



— Po trupa tego dziecka przyjdziesz do pałacu po północy..... Trzeba będzie gdzieś cicho pogrzebać....

się z tobą — padało co chwila z ust jej wśród rozpacznego łkania.

— Wandeczko moja, o czem ty mówisz, co za myśli straszne prześladują cię, dziecino — zasypywał ją pytaniami, całując twarz bladą, łzami oblaną. — Co za rozłączenie, nic nie rozumiem, uspokój się dziecko. Co ci się stało? — Co mówiąc, zaniósł ją prawie na otomanę, a gdy usiedli, przytuleni do siebie, jął dalej zaklinać i błagać, by mu wyznała przyczynę swojej niespodziewanej rozpaczy.

— No, powiedz że mi, Wandziuniu, co zaszło, coś ty miała na myśli, czem się martwisz, czego się boisz, skąd ten płacz żałosny?

Ona zaś oddycha ciężko, głęboko i możeby już chciała coś mówić, z czemś się zwierzyć, podzielić się z nim własnem cierpieniem, ale łkanie wstrząsa dalej całem ciałem, że niekiedy tchu złapać nie może ani przyjść do słowa. Więc tylko ciśnie główkę do jego piersi, muskając rozburzonymi, czarnymi włosami po jego twarzy różowej, dopóki w cichych a poczciwych pieszczotach jego czułych nie znajdzie ukojenia.

Wreszcie uspokojona nieco odrywa się od niego i chwyciwszy go z wszystkich sił za obie ręce, topi wzrok tęskny w błękicie oczu ukochanego mężczyzny.

— Jaśku, chcą nas rozłączyć!

— Chcą, powiadasz... Kto? o kim ty mówisz?

— Jakże ja ci to powiem, mój Boże, nieszczęście prawdziwe... Słuchaj, na godzinę przed twoim powrotem był tu u mnie mój ojciec...

— Co? hrabia Rożniewski? — woła Jan zdumiony.

Ciałem Wandy wstrząsnęły znów dreszcze, a twarz Jana stała się w tej chwili nie mniej bladą od jej twarzy.

— Mówże, na miłość Boską, czego chce twój ojciec — i trwożliwie czekał odpowiedzi, której trudno było przejść przez usta, nagłym ciosem nieszczęścia złamanej kobiety.

— Wyobraź sobie... mój ojciec utrzymuje, że nasze małżeństwo wobec prawa nic nie znaczy, że ślub nasz jest zupełnie nieważny...

Twarz mężczyzny stała się jeszcze bledszą.

— Odpowiedz mi, Janeczku, czy ojciec mówił prawdę, czy on ma słuszność? Jezus Marya! powiedz dla Boga, więc ja nie jestem twoją żoną, więc ludzie mają prawo uważać mnie za twoją metresę... Jaśku, zmiłuj się, więc cóż z dzieckiem naszem, Boże, tożby było nieślubne dziecko! — i dalej już mówić nie mogła, bo kurcz jakiś gwałtowny schwycił ją za gardło i tylko niema boleść i rozpacz głucha wyzierała z dwojga czarnych oczu załzawionych, które topiła teraz jak straszny wyrzut w tym jedynym, najdroższym dla niej na świecie człowieku, gdy ten milczał przez kilka minut, trwających dla obojga nieskończenie długo. Odezwał się wreszcie, a głos drżał mu niepewnie:

— Moje złoto, zapewne, że do czasu wobec prawa może niezupełnie jeszcze ważnem jest nasze małżeństwo, jako zawarte w sposób nie dość urzędowy, bez metryk, papierów, dokumentów i tak dalej, mimo, że wobec Boga pobłogosławił nasz ślub ksiądz Wałajtis..... Ale przecież ojciec twój wiedział już o tem wszystkiem... więc czegóż chce hrabia Rożniewski?

— Tak, mój kochany, wiedział... ale dziś właśnie upiera się przy tem, iż ślub nasz nic nie znaczył, iż nie jesteśmy wcale małżeństwem legalnem, powiada, że poczciwy, stary Żmujdzin nie miał prawa udzielać nam potajemnie ślubu w kaplicy zamku w Rożniewie...

— Ależ na Boga, powiedz, czego zatem żąda twój ojciec... O co mu idzie, mów wszystko... wszak hrabia nie z tem przyszedł do ciebie...

— Czego ojciec żąda, pytasz, wymaga odemnie, żebym się zaraz z tobą rozeszła, żebym opuściła bezzwłocznie ciebie i dziecko... a natomiast została żoną innego.

— Wandziu moja! Co ty mówisz? Dzisiaj ty żoną innego?

— I to czyją żoną... Pomyśl, Janeczku, czego ojciec wymaga odemnie. Żąda, bym natychmiast wyszła za barona Goldenthala... Maurycego Goldenthala z Łodzi.

Jan zakrył sobie twarz rękoma, usłyszawszy z ust uwielbianej kobiety straszny wyrok zaoczny, jaki przed paru godzinami zapadł na niego i na nich oboje.

— Ty nie znasz jeszcze całej prawdy — zaczęła dalej Wanda — nie powiedziałam ci jeszcze nagłych powodów tej tragedyi, w której matnię popadłam niespodziewanie, a które mnie zmuszają do poważnego rozważania żądań ojca...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Redaktorowie pod sądem.

Losu tylu swoich kolegów warszawskich nie uniknął i Jan Gadomski, redaktor i wydawca „Gazety Polskiej". Pismo to acz o kierunku szczerze narodowym, do niedawna nawet o barwie postępowo-liberalnej, przechyliło się w ostatnich czasach ku centrum, mającemu czucie z konserwatywną prawicą. A jednak i ten umiarkowany charakter gazety, nie ocalił jej redaktora od konfliktu z ustawą prasową. Powodem był artykuł „Prowokacya" (podpisany początkowemi literami Z. D.) a uznany za szkodliwy powadze i honorowi policyi warszawskiej, z tytułu jego insynuacyj, według których jeden z rewirowych usiłował podczas procesyi wywołać panikę, zaś inny jakoby wygłosić miał do publiczności mowę o potrzebie rewolucyi. Kara za takie przestępstwo przewidziana ustawą, jest ciężka, gdyż 500 rb. i więzienie od 2—16 miesięcy. Na rozprawie, która się odbyła zeszłego tygodnia, bronił oskarżonego jeden z najlepszych obrońców warszawskich, mecenas Pepłowski, z tym skutkiem, iż sąd skazał podsądnego tylko na 50 rb. kary, ewentualnie na 10 dni aresztu.

P. Jan Gadomski którego portret tu podajemy, (ur. w r. 1859 w Warszawie) nie obcy jest Krakowowi, gdzie po kilku latach uniwersyteckich,



Redaktorowie pod sądem: Wiktor Czajewski, założyciel, redaktor i wydawca „Rozwoju" w Łodzi, skazany na 8 miesięcy więzienia.

spędzonych w Petersburgu, kończył studya na wszechnicy Jagiellońskiej, a potem też tu drukował pierwsze swe prace publicystyczne w „Nowej Reformie" (1881). Umysł wcześnie skoncentrowany, poglądowy, dojrzewał szybko w pracy publicystycznej i literackiej, której jedynym płodem była tragedya, nagrodzona swego czasu na konkursie. Następnie współpracownik „Świtu" i „Gazety Polskiej", objął jej redakcyę w r. 1898, umiejąc na tem stanowisku odznaczyć się poważnem traktowaniem spraw narodowych i krajowych, a zarazem ruchliwością wydawniczą w kierunku dołączanych bezpłatnych dodatków książkowych w ilości przeszło $1^1/_2$ miliona egzemplarzy. Mimo stanowiska centrum, jakie zajął w „Gazecie Polskiej", od chwili kiedy ją oddał na usługi nowo utworzonego stronnictwa „Spójni", jest zdecydowanym przeciwnikiem „Stańczyków" galicyjskich. W kierunku narodowym objawia idyosynkrazyę przeciw Niemcom, a specyalnie dał wyraz swej „prusofobii" w pamiętnym artykule pt. „Prusacy idą", ogłoszonym w chwili największego zamętu i chaosu u nas i w Petersburgu, podczas wielkiego strejku kolejowego. Jako jeden z przedstawicieli prasy brał Gadomski udział w komisyi prasowej w Petersburgu, powołanej przez ministra Kobekę.

Pospołu z kolegami warszawskimi idą teraz pod sąd i redaktorowie — wydawcy pism prowincyonalnych w Królestwie Polskiem. Najbardziej odpowiedzialne to zadanie w Łodzi, ognisku przemysłu polskiego, zajął od r. 1897 Wiktor Czajewski jako wydawca i redaktor pisma polskiego codziennego pt. „Rozwój" o kierunku gorąco narodowym w duchu postępowo demokratycznym. Ciaśniejsze ramy miejscowej cenzury narażały redaktora już dawniej nieraz na kary, za szczerze wypowiadane uwagi. Nic więc dziwnego, że w dobie ostatniej nieustającego stanu wojennego w Łodzi, nie uniknął wyroku, na 8 miesięcy więzienia, oskarżony o ubliżenie armii w artykule „Krwawy pochód w Pabianicach"; założył wprawdzie apelacyę, czy jednak uwieńczy ją pożądany skutek?

Warto przy tej sposobności poznać bliżej sympatyczną osobistość dzielnego redaktora „Rozwoju", z którego podobizną zapoznajemy tu Czytelników. Urodzony w r. 1857 w Ostrołęce, kształcił się w Królewcu, a następnie w Krakowie na



Redaktorowie pod sądem: Świeżo w procesie prasowym skazany na grzywnę, Jan Gadomski, redaktor i wydawca „Gazety Polskiej" w Warszawie.

wydziale filozoficznym. Po osiedleniu się w Warszawie zamieszczał swe prace w pismach miejscowych, wydawał „Przegląd bibliograficzny", „Tygodnik Powszechny", ogłaszał liczne prace w książkach, literackie i belletrystyczne, wreszcie znany „Przewodnik po Warszawie" i „Warszawa Illustrowana", jakoteż cenne premium do „Rozwoju" „Dzieje Polski". Czynny, ruchliwy, zapobiegliwy a przytem pracowity ten publicysta cieszy się wielkim szacunkiem i uznaniem ogółu na trudnem swem stanowisku w Łodzi, gdzie nie braknie jego inicyatywy i udziału we wszystkich ważniejszych sprawach. Do takich należy między innemi wzniesienie pomnika „Obrońcy Częstochowy" w katedrze. Z własnej inicyatywy i własnym sumptem rozpisał ostatni konkurs dramatyczny łódzki, jakoteż dwukrotnie konkursy nowelistyczne.

Charakter prawy, zacny, natura szczera, otwarta, serce gorące, zdanie wytrawne, a nadewszystko miłość wszystkiego co polskie — oto co składa się na charakterystykę tego dzielnego człowieka, zasłużonego publicysty i redaktora.

Nakoniec dajemy tu portret Władysława Stodolnickiego, redaktora nie dawno powstałego w Lublinie „Kuryera lubelskiego"; w pierwszych zaledwie tygodniach sympatycznego wydawnictwa dostał się on również pod sąd i skazany został na karę 1000 rb., ewentualnie miesiąc więzienia, za jeden z mniej oględnie napisanych artykułów. Założył on apelacyę, a tymczasem wyjechał za granicę dla poratowania nadwątlonego, choć młodego jeszcze organizmu kąpielami w Biarritz.

Stodolnicki to jeden z młodych (ur. 1875) wykształconych na studyach w Berlinie dzienikarzy polskich. Dłuższy pobyt za granicą wyrobił mu ów szerszy światopogląd, spożytkowany zawczasu w licznych korespondencyach politycznych i ekonomicznych z Paryża, Rzymu, Berlina, księstwa



Redaktorowie pod sądem: Władysław Stodolnicki, redaktor niedawno w Lublinie powstałego „Kuryera Lubelskiego", skazany na 1000 rubli kary lub miesiąc więzienia.

Poznańskiego i Szląska, które dokładnie poznał. Powróciwszy do Lublina, oddawał stąd wielkie usługi pismom warszawskim jako stały ich korespondent. Od lat 3 wydawał rocznik illustrowany (historyczno-literacki) pt. „Pamiętnik lubelski", aż wreszcie konsorcyum złożone z wybitnych przedstawicieli inteligencyi miejscowej, powołało go na redaktora nowozałożonego „Kuryera lubelskiego", któremu umiał zapewnić od razu dużą poczytność i powagę niezłomnych zasad politycznych.

Bejot.



Liczył gwiazdy nad Krakowem: Świeżo zmarły zasłużony astronom polski, śp. Franciszek Michał Karliński, były dyrektor obserwatoryum astronomicznego w Krakowie.

Liczył gwiazdy nad Krakowem.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Krakowie jeden z wybitnych uczonych w skąpo u nas uprawianej dziedzinie wyższej matematyki i astronomii, emerytowany profesor wszechnicy Jagiellońskiej i były dyrektor krakowskiego obserwatoryum astronomicznego, Franciszek Michał Karliński. Z śmiercią jego poniosła nauka polska dotkliwą stratę. Śp. Karliński był bowiem jednym z tych jej pracowników, którzy całą mrówczą pracę długiego żywota poświęcili jedynie pracy naukowej, wkładając w nią cały talent i zapas żmudnie zdobytej wiedzy. Zamknięty w kole swoich obowiązków, oddany wyłącznie pracy około rozwinięcia tak zaniedbanej u nas nauki, jaką jest astronomia, żył zdala od gwaru wielkomiejskiego życia, nie mieszając się do spraw politycznych, tak zwykle wolność ducha absorbujących.

Śp. Karliński, którego portret obok zamieszcza-

my był dzieckiem Krakowa. Urodził się, wychował się, pracował i umarł w murach podwawelskiego grodu. Tu ukończył liceum św. Anny i studya uniwersyteckie. W roku 1851 objął w krakowskiem obserwatoryum astronomicznem obowiązki adjunkta. W cztery lata później powołany został na takie samo stanowisko do Pragi, skąd odbywał liczne podróże naukowe do uniwersytetów zagranicznych, badając urządzenia tamtejszych obserwatoryów. W roku 1862 mianowany został zwyczajnym profesorem wyższej matematyki i astronomii na uniwersytecie Jagiellońskim. Powrócił więc do rodzinnego miasta i rozpoczął energiczną pracę wśród swoich. Jako profesor wszechnicy wykształcił całe pokolenie nauczycieli szkół średnich. Był wybierany trzykrotnie dziekanem wydziału filozoficznego, a zasługi naukowe utorowały mu drogę do tego, że był członkiem dawnego Towarzystwa naukowego krakowskiego, a następnie czynnym członkiem Akademii umiejętności. Przed kilku laty przeszedł na emeryturę i od tej chwili chory nie opuszczał mieszkania, aż litościwa śmierć przerwała pasmo jego pracowitego żywota.

Przyczynek do historyi Maryawitów.

Historya ta datuje się bynajmniej nie od dziś ani od wczoraj, ale sięga już szeregu lat, a związana jest z czcią powszechną otaczanem imieniem O. Honorata, jednego z ostatnich na wymarcie skazanych zakonów OO. Kapucynów w Królestwie Polskiem.

Staruszek ten, widoczny na załączonej illustracyi (czwarty od lewej ku prawej) wcześnie już powziął myśl oddziałania w duchu religijnym na ogół, szczególnie na lud ów pracujący po miastach i fabrykach, gdzie zatraca tak łatwo wiarę i nabożność. W tym celu obmyślił i zwolna w czyn wprowadzał rodzaj bractw i zgromadzeń, które same na siebie pracując, obowiązywały się do życia religijnego i do jego szerzenia wśród ludu sposobem uczenia zaniedbanych religii, modlitwy, pieśni pobożnych i związanych z tem praktyk życia religijnego. Były to śluby dobrowolne, czasowe, które wiązały pracownice w jednem zadaniu pod różnemi nazwami „Niepokalanek“, „Westyarek“, „Sług Bożych i Służek“, „Sióstr Mniejszych“ itp. Przebytych lat 7 próby uprawniało dopiero do ślubów na całe życie, ślubów ubóstwa, czystości, przy ostrej regule życia i pracy. Lat 30 wymaganych przez władze kościelne trzeba czekać od chwili powstania zakonnego bractwa do jego uznania przez Rzym. Więc skarbiono sobie z roku na rok zasługi pod świętobliwem kierownictwem O. Honorata i O. Antoniego (Wysłoucha). Powstawały zakłady męskie i żeńskie w różnych miejscach.

Jednym z takich był i zakład mateczki Kozłowskiej w Płocku, dopóki...



Przyczynek do historyi Maryawitów: Grupa ostatnich członków na wymarcie przez rząd skazanego zakonu OO. Kapucynów w Nowem Mieście nad Pilicą w Królestwie Polskiem; czwarty od lewej ku prawej (X) śp. O. Honorat, czcigodny twórca zgromadzeń religijnych, z których jedno pod wpływem „mateczki“ Kozłowskiej przeobraziło się w sektę Mankietników.

Dopóki porzuciwszy wskazówki, kierownictwo i wspólność z O. Honoratem, nie wyodrębniła go Kozłowska i nie przeszła zakreśloną sobie przez O. Honorata kompetencyą, aby wkroczyć w dziedzinę reformatorską Kościoła katolickiego. W ten to sposób wyrodziła się odrębność samego zakładu Kozłowskiej i jego pierwotnego przeznaczenia, aby stoczyć się w przepaść sekciarstwa ze szkodą Kościoła i społeczeństwa polskiego. *Bt.*

Zabity naczelnik powiatu.

Zamieszczona tu illustracya przedstawia podobiznę Iwanowa, naczelnika powiatu łaskiego w gub. piotrkowskiej w Król. Polskiem. W dniu 11 bm. gdy Iwanow o godz. 5-ej popołudniu wyjeżdżał w charakterze urzędowym z Pabianic do Łaska, jacyś dwaj nieznani ludzie dali do niego 6 strzałów z rewolwerów. Pięć kul trafiło Iwanowa w głowę, szósta zaś zraniła wiozącego dorożkarza. Ciężko rannego Iwanowa odwieziono do szpitala fabryki Kruschego i Endera w Pabianicach, gdzie w pół godziny później zmarł. Iwanow znany był dobrze z dawniejszej swej służby w Łodzi na stanowisku naczelnika rezerwy policyi tamtejszej, w którym to charakterze zastępował niejednokrotnie policmajstra Łodzi. Rewolucyoniści przypisywali jemu właśnie użycie większej siły wojskowej z. r. w czasie listopadowych manifestacyj w Pabianicach, skutkiem czego przyszło tamże wówczas do większego krwi rozlewu i licznych jego ofiar. *B-t.*



Zabity naczelnik powiatu: Iwanow, naczelnik powiatu łaskiego, zabity niedawno w Zgierzu pod Łodzią.





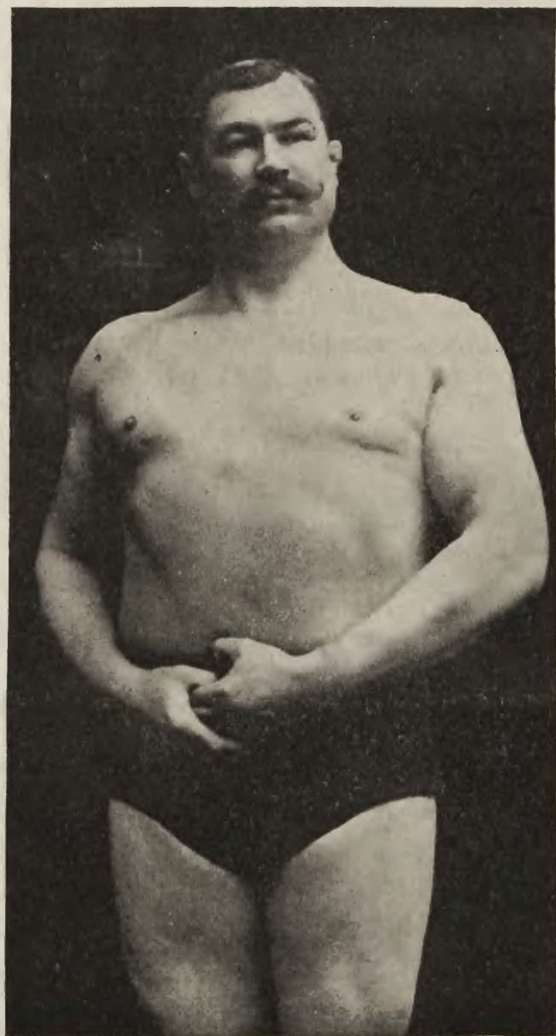
Niemcy ratują Francuzów: W taki sposób oddział ratunkowy z niemieckich kopalń Towarzystwa „Hibernia“ w Westfalii, z pomocą przyrządów do oddechania, ratował górników francuskich, wydobytych z pod ziemi w czasie ostatniej katastrofy w Courrieres.



Wojna z „wrogami republiki": Epizod z inwentaryzacyi kościołów wiejskich we Francyi: chłopi z drągami nie dopuszczają żandarmów, którzy przybyli usunąć barykady z głazów we drzwiach kościelnych.

Wojna z „wrogami republiki".

Nowy rząd francuski, którego przedstawicieli sportretowaliśmy w poprzednim numerze, postanowił jeszcze surowiej postępować z wiernymi Kościołowi katolikami, których minister Clemenceau nazwał świeżo w parlamencie „wrogami republiki i zawodowymi burzycielami porządku społecznego". Rzeczywiście energia rządowa natychmiast objawiła się oddaniem pod sąd kilkunastu proboszczów za wrzekome podburzanie parafian przeciw urzędnikom państwowym, spisującym przedmioty kościelne. Tu jednak spotkało ministra pierwsze niepowodzenie: większość oskarżonych kapłanów sąd



Zapasy atletów w Warszawie: Ettinger.

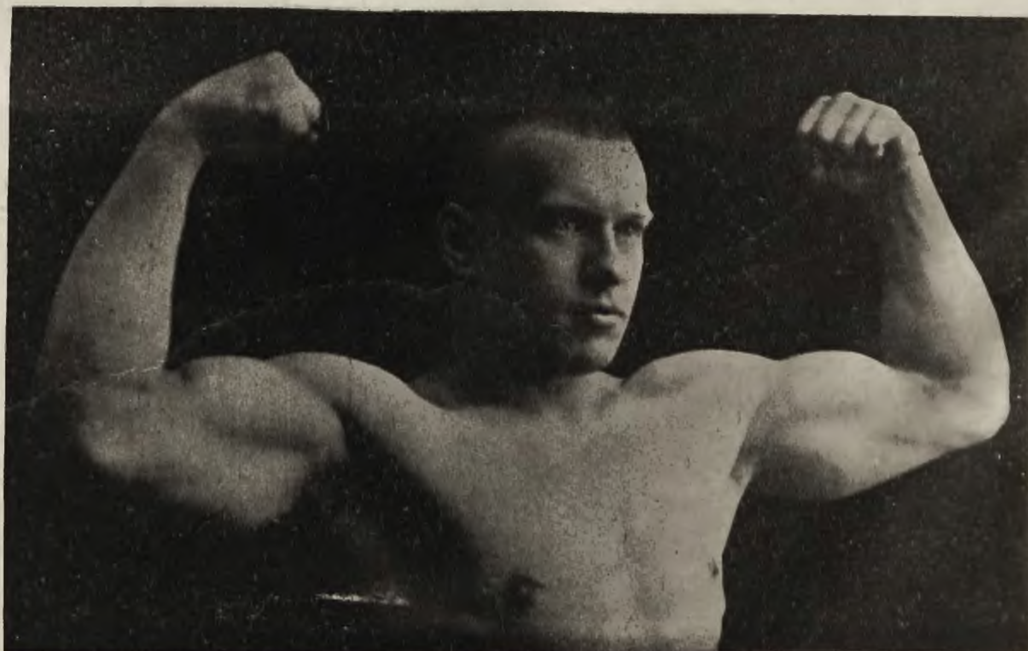
uwolnił. Dowodzi to, że p. Clemenceau zbyt pośpiesznie nazwał w Izbie katolików francuskich zawodowymi burzycielami publicznego spokoju. Ale nie tylko on jest tak wojowniczo usposobiony. Posłowie radykalni bowiem napadali w Izbie w tych dniach na Stolicę Apostolską, jako na „czynnik zagraniczny", który intryguje przeciw Francy. Wreszcie radykalistów prześcignąć w ostrych wycieczkach przeciw papieżowi starał się przy tej okazyi nowy minister spraw zagranicznych Bourgeois. Po jego oświadczeniu, że Francya cofnie wszystkie zasiłki, dawane tym religijnym zakonom francuskim, które w Turcyi, Persyi, Chinach i Syamie utrzymują francuskie szkoły, a natomiast pocznie zakładać w tych krajach swoje szkoły świeckie, bezwyznaniowe, Izba uniesiona radością uchwaliła budżet ministeryum spraw zagranicznych większością dość znaczną. To był niezaprzeczenie pierwszy sukces nowego gabinetu Sarriena.

Lecz ma on także przykrość, która naraziła go na żarty w całej Europie. Oto książe Ferdynand bułgarski, jako głowa rodziny Koburskiej, zażądał zwrotu wszystkich darów, jakie zrobiła ta rodzina francuskim kościołom, a robiła ich dużo, jako spokrewniona z Orleanami. Książe Ferdynand oświadczył przez swego adwokata, że owe dary czynione były kościołom, a nie państwu francuskiemu, zatem przez nie zabrane być nie mogą. Zacznie się teraz proces cywilny, a jeżeli wygrają go Koburgowie, to wszystkie inne rody, które napełniły arcydziełami sztuki świątynie francuskie, zażądają również zwrotu i wtedy w kościołach nic nie zostanie, a wiele cennych przedmiotów Francya utraci. To przeraża Francuzów i tworzy nowy kłopot dla ich rządu, wojującego z Kościołem.

Mimo to Jerzy Clemenceau, osławiony jako pogromca gabinetów, którego świeża kompania przeciw niemieckiej polityce w Marokku przyczyniła się znacznie do wskrzeszenia francuskiego patryotyzmu; — ten Clemenceau, którego zdolności par-

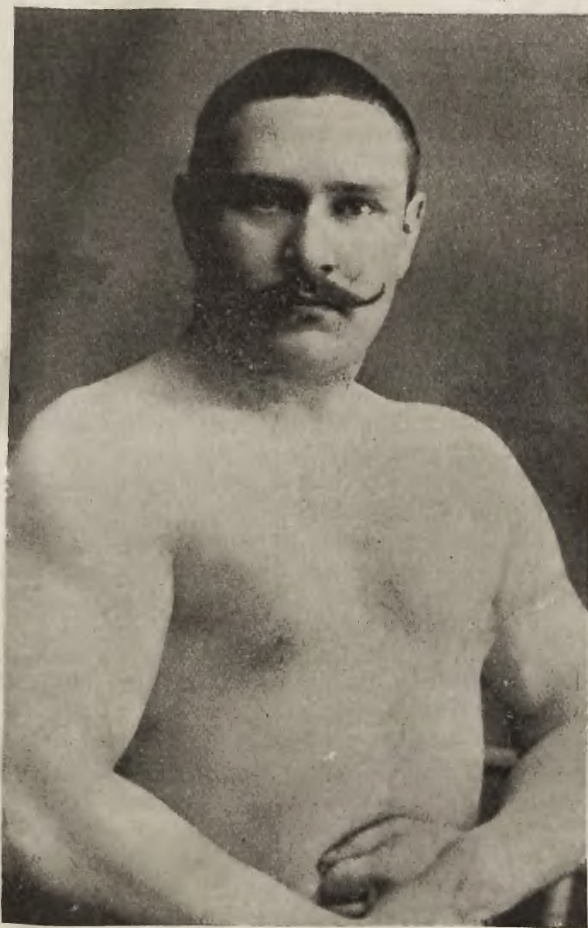


Wojna z „wrogami republiki": Epizod z inwentaryzacyi po wsiach we Francyi: chłopi zbrojni w widły zabarykadowali wejście do kościoła, przed którym proboszcz odczytuje protest parafian wobec przybyłej komisyi rządowej.



Zapasy atletów w Warszawie: Lurich.

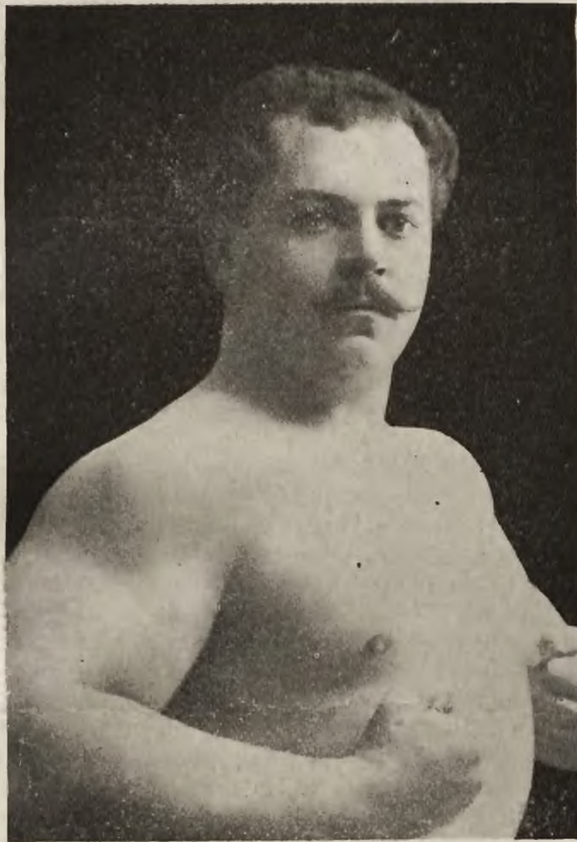
Konkursowe zapasy atletów w cyrku Cinisellego w Warszawie.



Kmicic (Litwin).



Kachuta (Indus, któremu Koran niepozwala fotografować się w trykotach).



Prof. Lebiedjew (kierownik zapasów).

tyzanta politycznego nie osłabły w 64-ym roku życia — sam zostawszy po 30 latach działalności obywatelskiej nareszcie ministrem z teką spraw wewnętrznych, zamierza z całą energią przeprowadzić inwentaryzacyę kościołów. Sprawa ta w dalszym ciągu rozognia opinię publiczną w całej Francyi i nie przestaje również interesować publiczności w Europie. To też w miarę napływu materyału fotograficznego z miejsc charakterystyczniejszych zdarzeń z okazyi inwentaryzacyi, podajemy naszym Czytelnikom ryciny, stanowiące ciekawsze epizody tej epokowej wojny państwa z Kościołem.

Zapasy atletów w Warszawie.

Od kilku tygodni trwają codziennie zapasy siłaczy i atletów w cyrku p. Cinisellego w Warszawie.

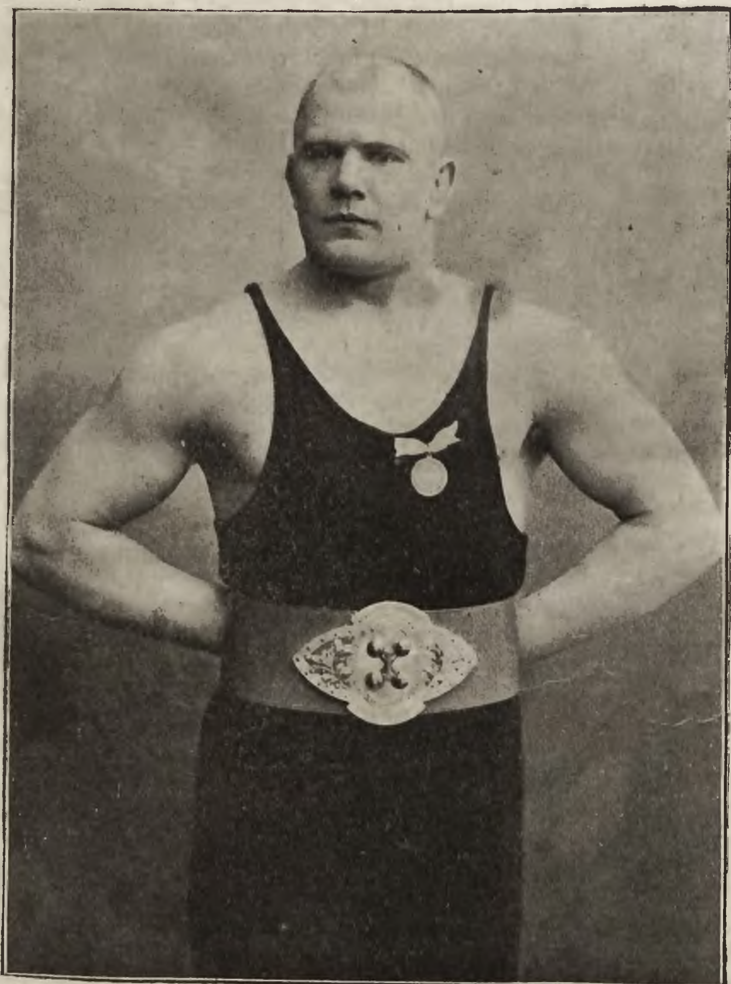
Jest to tu pewna nowość, o tyle, że od lat sześciu czy ośmiu były zabronione, a pozwolenie otrzymał na zapasy wyjątkowo ich kierownik p. Lebiedjew, jako petersburski profesor atletyki.

Zgromadził on do tych zapasów zastęp niemały siłaczy i atletów wszelkich narodowości, co jednak bynajmniej nie daje powodu publiczności warszawskiej do przejawów szowinizmu narodowego podczas walk w cyrku, codziennie wysprzedanym aż do ostatniego miejsca.

Szanse zapaśników konkursowych wahają się z dnia na dzień, tak że obecnie nie da się jeszcze ustalić listy zamkniętej tzw. „niepokonanych“.

W chwili gdy to piszemy, należą do niej podług liczby odniesionych zwycięstw: Aberg 26, Fryszteński 20, Ettinger 12, Strenger 8, Lurich 5 — i ci zapaśnicy są obecnie kandydatami do nagród.

W szeregu zapaśników pokonanych są jeszcze również adepci do nagród, którym los szczęścia może się uśmiechnąć, jakoto: Bieńkowski liczący zwycięstwt 23, Michajłowicz 14, Kachuta 13, Bau 10, Lauren de Boucher 7. Przedstawiamy tu, z wyjątkiem już portretowanych u nas, podobizny najwybitniejszych, między nimi litewskiego siłacza Kmicica, jakoteż indusa Kachuty, w malowniczym stroju narodowym, na którego zdjęcie do fotografii nie pozwalają przepisy Koranu. Niemniej zapewnić możemy, iż syn azyatyckiego południa nie ustępuje w niczem europejczykom pod względem atletycznego wyrobienia mięśni, siły i zręczności. Czy do konkursu staną w Warszawie niezwyciężony Cyganiewicz i Pytlasiński, dotąd nierozstrzygnięte. Prof. Lebiedjew twierdzi, iż zbraknie już po temu czasu, gdyż obecne walki potrzebują do ukończenia jeszcze 2 tygodnie, poczem ma inne miejsce przeznaczenia w Rosyi. *B-t.*

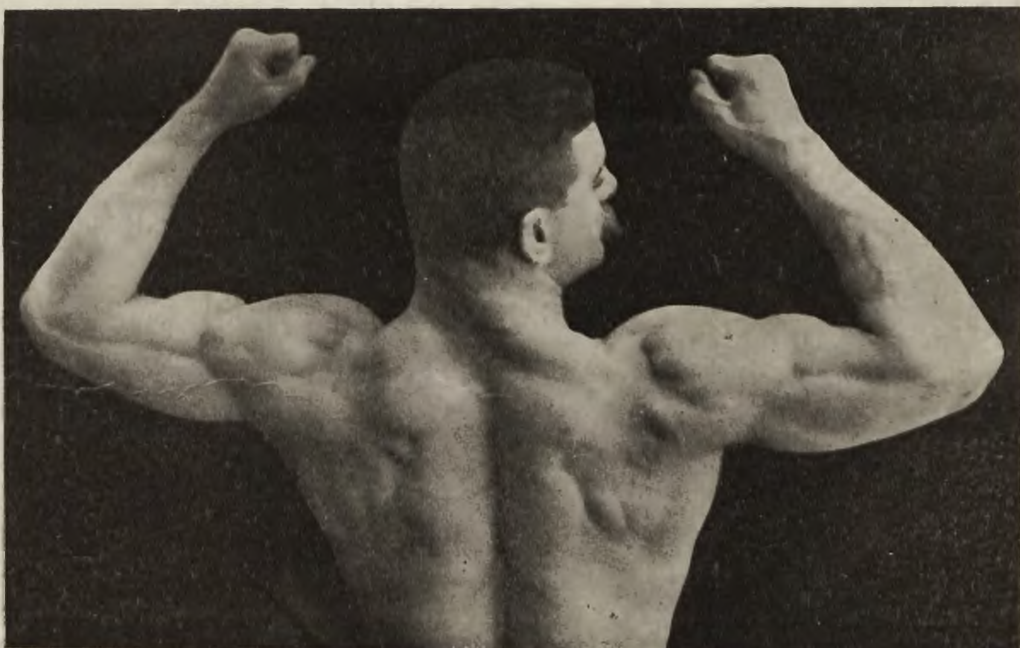


Aberg.

Zakazane obrazy.

(Do illustracyi na stronie 12).

Dużo hałasu narobiła w Petersburgu sprawa osobliwego zakazu wystawienia na widok publiczny kilku dzieł sztuki. Otwarto mianowicie wspaniałą wystawę artystyczną w Akademii malarskiej, na którą niektórzy artyści nadesłali między innymi obrazy o aktualnych tematach politycznych. Rzecz to nie dziwna bynajmniej. Poeci i prozaicy rosyjscy nie mogą w takiej chwili, jak obecna, pisać innych rzeczy, jak poematy i nowele osnute na bieżących tematach, czerpane z życia narodu w tych przełomowych godzinach Rosyi. Czyżby malarze mogli obojętnie patrzeć na wypadki ostatniego roku? Więc jeden skomponował na płótnie „epilog dramatu na Preśni“ w Moskwie; drugi dał barwny „pogrzeb zabitego“ — obraz, będący jednym z tysięcznych epizodów współczesnych wypadków w miastach rosyjskich; trzeci wreszcie przedstawił typowe „uśmierzanie buntu“... Policyi wydały się takie obrazy niebezpieczne i nie pozwoliła wystawiać ich publicznie na wystawie malarskiej. Czytelnicy polscy mogą z naszych reprodukcyi zapoznać się dzisiaj z ich treścią.



Fryszteński.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

2 Przerobił J. R.

— Robercie, odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy kochałeś przedemną inną jaką kobietę? Chciałam powiedzieć — mówiła dalej wśród łez — czyś nie poślubił kiedy innej kobiety?

Cofnął się w głąb i zbladł. W oczach jego błysnął płomień tajonego gniewu, jednak opamiętał się i z dobrotliwym uśmiechem wziął rękę Erny w swoją dłoń.

— Co za dziwne pytanie, dziecko? Skąd ci przyszły do głowy takie niemądre myśli?

Było coś łotrowskiego w jego twarzy, w oczach malowała się trwoga i niepewność. Jednak Erna, mając oczy pełne łez, nie mogła tego zauważyć. Wyjęła z szuflady fotografię i trzymając ją przed nim, zawołała boleśnie:

— Patrz! Czyż to nie ty stoisz obok tej kobiety?

Hrabia Pardua wziął jej fotografię z ręki i przypatrywał się jej na pozór z wielką uwagą. Twarz jego się nie zmieniła. Wreszcie potrząsł głową i zaśmiał się wesoło, poczem na nowo objął kibić Erny i rzekł poważnie:

— Nie, najdroższa Erno. To nie ja. Ale skąd wzięłaś tę fotografię? Kto ci tych głupstw nabił do główki?

— O tem potem, Robercie. Przecie ja ci wierzę. Jestem już całkiem spokojna — szepnęła Erna i zawstydzona ukryła rozognioną twarz na jego piersi. Nie widziała tego szatańskiego, szyderczego śmiechu, jaki się teraz pojawił na jego wargach. — —

Nadeszła wreszcie godzina ślubu. Małe liczbą, jednak doborowe towarzystwo zebrało się koło ołtarza; cały kościół tonął w powodzi kwiatów i zieleni. Naraz zapanowała cisza. Oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom, poczem ozwały się przytłumione szepty podziwu, zabrzmiały organy, a środkiem kościoła szli nowożeńcy do ołtarza. Pan młody, wysoki, szczupły mężczyzna wiódł pod rękę prześliczną dziewczynę w bieli, z wianuszkiem mirtowym na złotych włosach. Ludzie patrzeli na nią, jak na zjawisko. Bo też piękniejszej kobiety trudno byłoby znaleźć.

Kiedy jednak orszak ślubny wyszedł z kościoła i młoda para wsiadała do powozu, z tłumu wybiegła blada, zbiedzona kobieta i z podniesionemi rękoma rzuciła się na ekwipaż hrabiego, wołając rozpacznie:

— Robercie! Robercie!

Hrabia Pardua oglądnął się. Zobaczył ją i trupia bladość pokryła mu oblicze. Szybko wskoczył za żoną do powozu, woźnica podciął konie, które się zerwały jak burza. A za znikającym w ulicy powozem biegł rozpaczliwy krzyk:

— Robercie! Robercie!

Co to była za kobieta, która jakby w przystępie obłędu rzuciła się na powóz hrabiego i krzyczała za nim imię hrabiego Parduy?

ROZDZIAŁ III.

Człowiek bez nazwiska.

W wielkim szpitalu we Frankfurcie leżał od kilku tygodni chory, który dla wszystkich lekarzy był istną zagadką. Miał lat niespełna trzydzieści. Głowy jego nie można było prawie widzieć, bo cała była pokryta bandażami.

Naokoło jego łóżka stali lekarze z posępnemi minami. Młodsi z nich patrzyli na chorego jak na najbardziej ciekawy okaz patologiczny. Wszyscy mieli w ręku zegarki i nie spuszczali oka z chorego.

Za trzy minuty miało się wszystko rozstrzygnąć. Albo chory zapadnie w sen, który będzie dla niego zbawieniem, albo też ciało jego przebiegnie śmiertelny dreszcz, zwiastun śmierci. Był to tensam chory, o którym rozpisywały się wszystkie dzienniki niemieckie, bohater sensacyi, którą w ten sposób opisywał „Frankfurter-Local-Anzeiger“:

„Straszną zbrodnię popełniono w nocy z 29 na 30 listopada w coupè pierwszej klasy pociągu, zdążającego z Paryża do Frankfurtu. Jeden z podróżnych, należący do sfer wyższych, został przez jakiegoś pasażera ogłuszony, obrabowany i wyrzucony przez okno. Ciężko rannego znalazł na drugi dzień budnik, który zauważył, że nieszczęśliwy daje jeszcze słabe znaki życia. Przeniesiono go do szpitala we Frankfurcie. Identyczności jego nie udało się stwierdzić dotychczas“.

Ten właśnie chory przebywał obecnie kryzys. Jeszcze minuta — a los jego się rozstrzygnie.

Wtem dreszcz wstrząsnął ciałem chorego — wyprężył się.

— Już! — szepnęli młodzi, dopiero studyujący lekarze.

Ale stary profesor nachylił się nad nim i po chwili rzekł:

— Jeszcze nie!

Z niedowierzaniem wpatrzyli się lekarze w bladą jak płótno twarz chorego. Jednak w tej chwili usłyszeli głęboki, regularny oddech, jaki podnosił pierś chorego.

— Uratowany, moi panowie — rzekł profesor. Lekarze oddalili się.

Chory był uratowany, to nie ulegało wątpliwości. Jednak kiedy nieszczęśliwy przyszedł do przytomności, przekonano się, że zupełnie utracił pamięć. Nie pamiętał nic, zgoła nic.

Profesor potrząsł głową. Był on przekonany, że chory, odzyskując powoli siły, odzyska z czasem i pamięć. Mijały jednak tygodnie, chory czuł się już prawie zupełnie dobrze, ale pamięć nie wracała. Umysł jego był zresztą jasny, ale przeszłość zatarła się w jego mózgu zupełnie. Komisarz policyi był już kilka razy u jego łoża, ale chory nie tylko, że nie mógł mu udzielić najmniejszych szczegółów co do wypadku na kolei, ale zapomniał zupełnie swego nazwiska. Wtem pewnego dnia otrzymał ze szpitala wiadomość, że go tam natychmiast potrzeba.

Chory siedział przy oknie i sam był silnie wzruszony tem, że nie pamiętał, jak się nazywa. Zobaczywszy detektywa, zwrócił się doń z błagalną prośbą:

— Panie komisarzu — mówił — profesor powiedział mi, że pan jesteś nadzwyczajnie zdolny i sprytny. Rozwiązywałeś pan podobno najbardziej zawikłane zagadki, powołano pana nawet do Londynu, gdzie pan odkryłeś słynnego mordercę kobiet, dlatego zwracam się do pana z prośbą, by mi pan dopomógł, by mnie pan naprowadził na ślad, żebym ja się dowiedział, kim jestem, żebym sobie moje nazwisko przypomniał.

Kto nie znał nieszczęścia tego człowieka, tenby się z pewnością roześmiał, gdyby go słyszał w ten sposób przemawiającego. Bo przecież, czyż to nie wygląda komicznie, jeżeli człowiek mówi: „Pomóż mi pan przypomnieć sobie, jak się nazywam“. Ale detektyw Stein nie śmiał się. Czoło mu się zmarszczyło, oczy utkwił w suficie i po chwili milczenia rzekł nagle:

— Wezmę pana do swego mieszkania, bo pan już jest na tyle zdrów, potem się jakoś postaramy o przywrócenie pamięci.

Już na drugi dzień „bezimienny“ znajdował się w mieszkaniu najsłynniejszego detektywa. Stein nie był żonaty, a gospodarstwo prowadziła mu stara, wiecznie milcząca kobieta. Chodziły wieści, że Stein wyrwał ją z rąk morderców i że od tej chwili przywiązała się do niego jak pies.

Detektyw robił wszystko, aby tylko bezimiennemu przypomnieć coś z przeszłości — ale nadaremnie. Jedynym punktem wyjścia dla jego badań była tylko litera „P“, wyszyta na bieliźnie nieszczęśliwego. Dzisiaj wziął Stein znowu do ręki jego zbroczony krwią płaszcz i przeszukiwał po raz niewiadomo który wszystkie kieszenie. Naraz, jakby mu nagle dobra myśl w mózgu zabłysła, wyjął scyzoryk, otworzył go i zaczął pruć szwy jedwabnej podszewki. Pracował nad tem już blisko godzinę, ale — znowu napróżno. Raz jeszcze przebiegł oczyma każdą najdrobniejszą część i kiedy już miał wszystko położyć, z podszewki wypadło kilka drobnych kawałków papieru. Jak jastrząb rzuca się na kurę, tak Stein rzucił się na te świstki.

Okazało się, że były to resztki potarganej na kawałeczki koperty. Na świstkach tych widać było pojedyncze litery. Drżącemi rękoma ułożył je Stein na stole i odczytał, co następuje:

Nadawczyni: Radczyni Solms

Jakby oszołomiony tem odkryciem wdział kapelusz, zarzutkę i wybiegł z pokoju, udając się do stacyi telefonicznej, gdzie kolejno rozmawiał ze wszystkimi dyrekcyami policyi większych miast w Niemczech. Dopiero za godzinę opuścił gmach pocztowy. — Na twarzy jego rozlewał się błogi uśmiech, najlepszy znak, że praca mu się powiodła i że był z niej zadowolony. Przyszedłszy do domu, udał się natychmiast do pokoju bezimiennego.

— Bądź pan tak dobry i przygotuj się pan jak najprędzej do drogi. Najbliższym pociągiem jedziemy do stolicy.

Jednak bezimienny nie ruszył się z miejsca.

— Chwileczkę, panie komisarzu — wyjąkał — zdaje mi się, że w mrokach przeszłości błyska mi jakieś światło. — Ale zaraz potem westchnął głęboko i rzekł: Nie, nie wiem nic więcej ponad to że jestem dzieckiem bardzo majętnych rodziców i że wyjechałem z Paryża do Niemiec, aby się zaręczyć z córką siostry mojej nieboszczki matki.

— A jak się nazywała siostra śp. matki pańskiej?

Bezimienny patrzał na detektywa zrozpaczonym wzrokiem.

— Widzi pan, to właśnie nieszczęście, że dalej pamięcią sięgnąć nie mogę. Choćbym nie wiem jak wytężał wszystkie siły, nie mogę sobie niczego przypomnieć.

Komisarz patrzył nań z nieokreślonem jakiemś uczuciem, poczem rzekł:

— Czy mam panu przyjść z pomocą?

Bezimienny rozśmiał się niedowierzająco i rzekł ze smutkiem w głosie:

— Ach, tego pan nie potrafisz!

— Czy matka panienki, którą pan sobie na żonę wybrałeś, nie nazywała się przypadkiem — radczyni Helena Solms?

Jakby ukąszony przez żmiję zerwał się nieszczęśliwy i ze wzruszenia nie mógł słowa ze siebie wydobyć. Detektyw zaś, śmiejąc się wesoło, wziął go pod rękę i naglił:

— Przygotuj się pan prędko, za pół godziny odchodzi pociąg do stolicy. Poszukamy tam pańskiej narzeczonej.

ROZDZIAŁ IV.

Krwawe gody.

Erna, jadąc z małżonkiem z kościoła do domu, słyszała krzyk nieszczęśliwej, biegnącej za powozem. Zwróciła się więc do męża:

— Słyszałeś, Robercie, ten krzyk? Co to za jedna ta kobieta? Skąd ona cię zna?

— Nic nie słyszałem — odparł hrabia z uśmiechem. — To ci się tylko zdawało, moja Erno, że mnie ktoś woła.

Erna spojrzała badawczo na jego spokojną, uśmiechniętą twarz.

— Przecież ją widziałam, tę biedną, wychudłą żebraczkę — mówiła wzruszona. — Rzuciła się za powozem, wołając ciebie. Głos jej był tak pełen boleści, że mi serce rozdzierał. A ty mówisz, żeś tego nie słyszał, Robercie?

— Ależ Erno! Dziecinko ty moja — rzekł, przycisnął ją do siebie i zamknął jej usta gorącym pocałunkiem. — Uwierzę chyba, że cierpisz na halucynacye. — Wzruszenie, zrozumiałe w tej tak uroczystej chwili, wczorajsze twoje nagłe zasłabnięcie, tak, tak, to wszystko musiało na ciebie oddziałać i każe ci widzieć i słyszeć rzeczy, o których się nikomu nie śniło. Chora jesteś, dziecinko! Wyjedziemy w dłuższą podróż poślubną na południe, tam przyjdziesz znowu do zdrowia i odzyskasz równowagę umysłu.

Chociaż jednak hrabia Robert dokładał wszelkich starań, aby w swoją młodą małżonkę wmówić, że się łudziła, Erna nie mogła mu uwierzyć. Uczucie jakiegoś dziwnego przygnębienia i trwogi owładnęło jej sercem. A kiedy spojrzała na twarz męża, mróz ją przeszedł po kościach. Odsunęła się od niego i zaczęła cicho płakać.

Dlaczego on się upierał, że nie zna tej kobiety? Myślała o nieszczęsnym liście, jaki wczora otrzymała i przeczucie, głuche, nieuświadomione przeczucie o grożącem jej niebezpieczeństwie ścisnęło jej serce.

Potem, w domu, siedzieli przy stole na miejscach honorowych, w małem kółku przyjaciół. Robert trzymał jej maleńką rączkę, która ginęła zupełnie w jego męskiej dłoni i wyglądał jak uosobienie szczęścia. Uczta ślubna nie była zbyt wesołą, bo przecież przed kilku zaledwie miesiącami umarła matka panny młodej. Naraz jeden z kuzynów Erny ozwał się do hrabiego:

— Nazwisko pańskie, panie hrabio, jest rzeczywiście rzadkie.

— Jestem ostatnim potomkiem prastarego rodu — odparł hrabia nie bez dumy.

— W takim razie nie jesteś pan krewnym owego hrabiego Pardua, który na drodze z Paryża do Frankfurtu został napadnięty w pociągu i wyrzucony z wagonu tak nieszczęśliwie, że natychmiast ducha wyzionął?

Twarz hrabiego pokryła się naraz trupią bladością.

— Myli się pan — rzekł po chwili czystym, spokojnym głosem. — Znam ten wypadek. Po monogramie na bieliźnie zamordowanego sądzono, że jest nim hrabia Pardua; myślano naturalnie o mnie. Władze przekonały się już dawno o pomyłce, ale identyczności zamordowanego do dziś dnia nie stwierdzono.

Tematu tego już więcej nie poruszano. Hrabia po chwili wstał i pozostawił swoją młodą żonkę, na której ręce złożył gorący pocałunek, na chwilę samą.

Na kurytarzu zaszła mu drogę Elżbieta.

— Kochany szwagrze — rzekła — bądź tak dobry i pozwól na kilka minut do mego pokoju. Mam ci coś ważnego powiedzieć.

— Z przyjemnością — odparł i poszedł za nią. Weszli do bardzo ładnego pokoiku, którego umeblowanie szpeciła jeno wielka kasa wertheimowska, rzucająca się w oczy zaraz na wstępie.

— Pytałam cię onegdaj — zaczęła Elżbieta — czy żenisz się z Erną tylko dlatego, że jest piękną i anielsko dobrą, czy też szukasz w niej tylko bogatej żony. Oburzyłeś się wtedy i zawołałeś, abym ci nigdy nie wspominała o pieniądzach. Dzisiaj jednak, w dzień twego ślubu, zdaje mi się, że powinieneś się dowiedzieć, jak stoją nasze finanse. Że majątek naszych rodziców jest olbrzymi, że przekracza sumę pięciu milionów, o tem zapewne wiesz; pochodzi on jednakże, jak ci może również wiadomo, nie ze strony ojca, ale ze strony matki. Chciałam ci zaś zwrócić uwagę na szczególną klauzulę przy tym majątku. Moja prababka, która, jak się zdaje, musiała bardzo wiele wycierpieć z winy mężczyzn, pozostawiła testament tej treści: „Majątek dziedziczy zawsze najstarsza córka, która jednak nie może naruszać kapitału, a korzysta jeno z procentów od pięciu milionów. Pieniądze te nigdy nie mogą przejść na męskiego członka rodziny“. Po śmierci mej matki majątek przeszedł na mnie, a Erna odziedziczyła po ojcu jeno sto tysięcy marek. Kiedy jednak ja zamknę powieki, wtedy Erna, pańska żona, wejdzie w moje prawa. Ona zaś, jako ostatni potomek naszego rodu, będzie wówczas mogła tym majątkiem rozporządzić dowolnie.

Hrabia, wysłuchawszy tej oracyi, zbladł jak ściana. Czyżby go ta wiadomość tak wzruszyła? Chyba nie, bo ozwał się zaraz spokojnie:

— Niechże cię nam Bóg chowa jak najdłużej, moja Elżbieto; Erna, jako moja żona, nie potrzebuje tych milionów. Znana rzecz przecie, że hrabiowie Pardua mają kolosalny majątek.

— Pozwolisz jednak, szwagrze, że ci złożę w ręce kilka tysięcy marek dla Erny. To na podróż poślubną — dodała, widząc, że hrabia patrzy na nią zdumiony. Otwierała potem pojedyncze półki w kasie — oczy hrabiego rozszerzyły się mimowolnie — było tam pełno pieniędzy i stosy papierów wartościowych, jakby w jakim banku.

Wtem — czy to nie było złudzenie? Po dobrotliwej zwykle twarzy hrabiego przebiegł jakiś demoniczny błysk.

Elżbieta nie zauważyła, jak hrabia Robert na palcach podszedł ku niej i za jej plecyma zrobił jakiś podejrzany ruch. Naraz rozszedł się po pokoju ostry, narkotyczny zapach, równocześnie Elżbieta uczuła, że ją ktoś chwycił w pół, przegiął i przemocą zatkał jej usta chusteczką, napojoną oszałamiającym jakimś płynem. Słaby krzyk i — nieszczęśliwa padła nieprzytomna na ziemię.

Głucha cisza zaległa pokój. Przez kilka minut morderca klęczał obok swej ofiary, wreszcie wyjął jej chusteczkę z ust i podniósł się. Otworzył okno, aby wpuścić trochę świeżego powietrza, któreby choć w części usunęło ostrą, zabójczą woń chloroformu, poczem na palcach wysunął się z pokoju.

Przy stole biesiadnym mówiła właśnie Erna, że mąż jej zadługo gdzieś przebywa, kiedy do sali wszedł Robert. W oczach jego migotały błyski niepokoju, ale Erna ich nie zauważyła.

— A gdzie Elżbieta? — spytała. — Nie widziałeś jej, Robercie?

Zdawało się, że nie dosłyszał pytania, bo właśnie wiódł bardzo gorącą rozmowę ze swoim sąsiadem. Młoda żona wstała i wyszła, aby poszukać Elżbiety. Zdawało jej się, że Elżbieta poszła do swego pokoju, aby trochę odpocząć po wrażeniach dnia, a Erna pragnęła z nią raz jeszcze we dwoje choć na chwilę pogawędzić.

W pokoju było ciemno. Zawołała więc:

— Elżbietko! Jesteś tutaj?

Nie było odpowiedzi. Jakaś dziwna cisza, jakaś szczególna woń, która ją prawie dusiła, panowała w pokoju. Erna zapaliła światło i podeszła ku sofie, pewna, że tam znajdzie siostrę. Jednak na sofie nie było nikogo.

Nagle oczy jej się szeroko rozwarły, cofnęła się krok wstecz i omal nie upadła.

— Linko — zawołała przeraźliwym głosem — na Boga, Linko, chcesz mnie pewnie nastraszyć, przemówże, Linko, choć słowo!

Ale więcej mówić nie mogła. Stanęła, utkwiwszy oczy w kącie pokoju przy szafie, gdzie na dywanie leżała bez życia postać kobieca.

Dreszcz przebiegł Ernę od stóp do głowy, tchu jej zabrakło w piersiach, naraz straszny, nieludzki krzyk rozbrzmiał w pokoju.

— Nie żyje! — wołała Erna. oszalała z bólu — Linka, moja siostra, nie żyje!

Krzyk ten dobiegł aż do sali. w której byli zgromadzeni goście weselni, a ci, usłyszawszy go, ruszyli gromadnie do pokoju Elżbiety. Pierwszy przybiegł hrabia Robert i chwycił w ramiona omdlewającą Ernę. W głuchem przerażeniu patrzyli goście na tę straszną scenę, i dopiero po chwili ozwał się ktoś, że trzeba zawołać lekarza. Posłano więc pokojówkę po doktora Stürmera.



....Równocześnie Elżbieta uczuła, że ją ktoś uchwycił w pół, przegiął i przemocą zatkał jej usta chusteczką, napojoną oszałamiającym jakimś płynem.....

Tymczasem hrabia wyniósł z pokoju swą nieprzytomną żonę. Zanim zaś przybył lekarz, goście wszyscy uciekli w panicznym przestrachu. Zostali tylko dwaj panowie, krewni obydwóch sióstr i w ich towarzystwie znalazł doktór Stürmer hrabiego Roberta przy zwłokach Elżbiety.

Chociaż upłynęło już sporo czasu, a okna do tej pory były otwarte, lekarz poczuł natychmiast woń chloroformu i patrzył z zakłopotaniem na trzech mężczyzn. Hrabia Robert, który był najbardziej spokojny, oświadczył lekarzowi, że nikt sobie tego strasznego nieszczęścia nie może wytłómaczyć.

— Czy siostra mej żony rzeczywiście nie żyje, panie doktorze? — zapytał.

Lekarz wkrótce skończył badanie. Podniósł się i spojrzał na hrabiego wzrokiem tak przenikającym, że hrabia nie wytrzymał i spuścił oczy ku ziemi. Doktor nie odpowiadał na pytanie, jeno patrzył na tego człowieka, który mu skradł całe jego szczęście, wzrokiem tak zimnym, tak surowym i groźnym, jakby mu się chciał wedrzeć w głąb duszy. Hrabia nie podobał mu się zupełnie. Dlaczego — tego on sam sobie nie umiał wytłómaczyć.

— Tak, nieszczęśliwa już nie żyje — rzekł krótko i dodał zaraz — ale przyczyny śmierci nie da się na pewne określić. Zwłoki muszą tu pozostać, panie hrabio. Pokój trzeba będzie zamknąć, dopóki nie przyjdzie komisya sądowo-lekarska. Ja zaraz zrobię o wypadku doniesienie.

— Co — co pan mówi? — krzyknął hrabia, a wszystka krew znikła mu z twarzy. — Przecież pan nie przypuszcza, że to... morderstwo!

Umilkł, ale był tak wzruszony, że musiał się oprzeć o krzesło, aby nie upaść. Dwaj inni panowie nie mówili ani słowa. Patrzyli tylko przerażeni to na lekarza, to na zwłoki nieszczęśliwej.

— Może mi pan wyjaśni, panie hrabio — zaczął znowu lekarz — co znaczy ten zapach chloroformu w pokoju? Nie wie pan może, kto widział ostatni zmarłą jeszcze za życia?

— Nie, nie wiem nic, nic — bełkotał hrabia, przemocą się opanowując i nienawistnym wzrokiem zmierzył patrzącego nań lekarza. — Żona moja szukała tutaj siostry, która nagle opuściła towarzystwo i znalazła ją już nieżywą. To wszystko, co panu mogę powiedzieć.

— Mam nadzieję, że śledztwo sądowe rozwiąże zagadkę tej tajemniczej śmierci — rzekł doktor Stürmer i skinął na panów, aby z nim wyszli z pokoju.

ROZDZIAŁ V.

Przykra niespodzianka.

Blada i znużona siedziała Erna przy oknie, patrząc na szalejącą na polu śnieżną zawieję. Siostra jej od ośmiu już dni leżała w grobie, a brak jej odczuwała Erna całem sercem. I teraz, przypomniawszy ją sobie, zaczęła łkać.

A jednak nikt nie miał odwagi powiedzieć jej, że Elżbieta nie umarła naturalną śmiercią. Obawiano się, aby ją tem zbytnio nie przestraszyć i nie rzucić ją znowu na łoże boleści, z którego się nie dawno podniosła. Mąż zaś czuwał na tem, aby jej oszczędzić wszelkiego, choćby najmniejszego wzruszenia. Erna nie wiedziała więc dotychczas, że śledztwo sądowe już się odbyło, ale nie przyniosło zadowalającego rezultatu.

Usłyszała turkot powozu, zajeżdżającego przed pałac. Wysiadł zeń hrabia Robert, a zobaczywszy w oknie jasną główkę swej żony, ukłonił się z galanteryą i przesłał jej ręką całusa. Ernie zdało się, że jej miecz przeszedł przez serce. Cofnęła się od okna i ucieszyła się, że mąż nie przychodził do niej. Odczuwała teraz jakąś dziwną trwogę przed Robertem, ilekroć przyszła jej na myśl siostra. W kilka dni po ślubie przekonała się już, że męża swego nie kocha i kochać nigdy nie będzie.

Upłynęło zaledwie kilka minut, kiedy jej smutne rozmyślania przerwało nadejście służącej, która jej oznajmiła, że jakaś biedna kobieta, prawdopodobnie żebraczka, pragnie się z nią widzieć. Erna sądziła, że może przyszedł kto prosić ją o miejsce, może o wsparcie, kazała więc nieznajomą przyprowadzić do siebie.

W chwilę później zobaczyła przed sobą tę samą kobietę, która w dzień jej ślubu tak rozpaczliwym głosem wołała za jej powozem: „Robercie, Robercie“! I zanim ochłonęła z chwilowego przestrachu, ujrzała, że nieznajoma rzuciła się jej do kolan i rozłożywszy ręce jak do modlitwy, mówiła błagalnie:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Niemcy ratują Francuzów.

Do illustracyj na stronie 7.

Wrażenie, jakie w całym świecie wywarła olbrzymia katastrofa w Courrierès, która pociągła za sobą śmierć prawie półtora tysiąca ludzi, nie zatrze się tak prędko w pamięci. Wykazała ona bowiem w całej pełni niedbałość i lekceważenie życia ludzkiego przez zarząd kopalni, niosącej prawie milionowe dochody. Nie można powiedzieć, że dałoby się było uniknąć tej katastrofy, boć o wypadki nieszczęśliwe w kopalni nie trudno. Ale napiętnować się musi fakt, że w całej kopalni nie było ani jednego aparatu do sztucznego oddychania, niezbędnego przy najbardziej ograniczonej akcyi ratunkowej; dość powiedzieć, że musiano zawezwać oddział ratunkowy z kopalni Tow. „Hibernia“ w Westfalii, aby nieszczęśliwym górnikom, konającym wśród czeluści kopalnianych, wypełnionych trującymi gazami, przyjść choć w części z pomocą — w dwa dni po katastrofie. Twierdzić można na pewne, że gdyby w Courrierès istniał podobny oddział ratunkowy, to liczba ofiar katastrofy byłaby choć o jedną czwartą mniejsza. Ale trzeba było dopiero śmierci kilkunastu setek osób, aby zarząd kopalni, ciągnący z niej rokrocznie milionowe zyski, nauczył się cenić wartość człowieka, aby zaprowadził nareszcie to, co w każdej kopalni być powinno, mianowicie przyrządy ratunkowe.

Oddział ratunkowy niemiecki, który przybył po dwóch dniach na miejsce katastrofy, zabrał się z całą energią do pracy, z energią tem dziwniejszą, że w ostatnich zwłaszcza czasach antagonizm między Niemcami a Francuzami wzrósł do niebywałych rozmiarów, tak, że nawet groźne widmo wojny zamajaczyło nad obydwoma narodami. Nieszczęście jednak zbliża do siebie nawet najzaciętszych wrogów, a przykład tego mieliśmy właśnie w Courrierès.

Niemieccy robotnicy, wyszkoleni w doskonałej szkole górniczej w Bochum, wyposażeni we wszelkie, najnowsze aparaty i przyrządy, z zadziwiającą odwagą odrazu po przybyciu do kopalni, rozpoczęli akcyę ratunkową. Ich energii zawdzięczyć należy, że kilkunastu robotników, od dwóch dni już opłakiwanych i uważanych za umarłych, przywrócono do życia, a setki trupów wydobyto na powierzchnię ziemi, aby ich przynajmniej chrześciańskim uczcić pogrzebem. Na illustracyach naszych, jakie dzisiaj zamieszczamy, mogą Czytelnicy widzieć, w jaki sposób odbywa się akcya ratunkowa. Na pierwszej widzimy podziemny chodnik kopalni, zniszczony wybuchem gazów, w którym znaleziono górnika, dającego jeszcze słabe oznaki życia. Robotnik niemiecki włożył mu do ust rurkę od aparatu z tlenem i tym sposobem chce go oprzytomnić, wlać weń jeszcze iskrę życia. Na drugiej illustracyi widzimy znowu cucenie robotnika, którego wyniesiono z podziemia na niezatrutą jeszcze gazami powierzchnię jednego z piętr kopalni. Widać tu również cały aparat, dozwalający ratującemu pracować w najbardziej zatrutem nawet powietrzu. Główną częścią tego aparatu jest worek z tlenem, umożliwiający mu oddychanie ustami, gdyż nos musi być szczelnie zapomocą klamerek zamknięty.



Zakazane obrazy: Reprodukcya obrazu rosyjskiego malarza Władymirowa pt: „Epilog dramatu na Preśni“, na którego umieszczenie na publicznej wystawie w Akademii malarskiej w Petersburgu nie pozwoliły władze.



Zakazane obrazy: Reprodukcya obrazu rosyjskiego malarza Feszyna pt: „Uśmierzenie buntu“, na którego umieszczenie na publicznej wystawie w Akademii malarskiej w Petersburgu nie pozwoliły władze.

Morderczy zamach we Lwowie.

Niezwykle śmiało uplanowanego i wykonanego zamachu morderczego w celach rabunku dokonano w nocy z wtorku na środę ubiegłego tygodnia we Lwowie; zamachu tem śmielszego, że w ulicy ruchliwej, w samem śródmieściu. Oto do trafiki pięćdziesięcioletniego J. Kunza wszedł około 11 w nocy młody mężczyzna i zażądał cukierków. Kiedy trafikant, który podówczas był sam w sklepie, zwrócił się do gablotki z cukierkami. ów gość ugodził go trzykrotnie w głowę tępem jakiemś narzędziem i w ten sposób pozbawił przytomności. Następnie zabrał z kasy, znajdującej się w ladzie, około 80 kor., tj: całodzienny targ i szybko się ulotnił. Zraniony ciężko Kunz oprzytomniał po chwili i począł donośnie wołać o ratunek. Nadbiegli sąsiedzi oraz żołnierz policyjny, rannego opatrzono i odwieziono do szpitala, policya zaś jeszcze tej samej nocy rozpoczęła dochodzenia celem wykrycia sprawcy. Dotąd były one bezskuteczne.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy właśnie zdjęcie fotograficzne z trafiki, w której dokonano tego śmiałego zamachu.



Zakazane obrazy: Reprodukcya obrazu rosyjskiego malarza Brodzkiego pt: „Pogrzeb zabitego“, na którego umieszczenie na publicznej wystawie w Akademii malarskiej w Petersburgu nie pozwoliły władze.

Kółka rolnicze w powiecie lwowskim.

Okręg lwowski tow. Kółek rolniczych należy bezsprzecznie do najbardziej ruchliwych i żywotnych okręgów tej ze wszech miar pożytecznej organizacyi.

Ostatnio urządzono w tym okręgu sześciotygodniowy kurs handlowy dla wiejskich sklepów Kółek rolniczych). Oto zdjęcie fotograficzne grupy jego uczestników). Kurs ten, mający na celu zaznajomienie przyjętych uczestników z głównemi zasadami handlu mięszanych towarów, trwał od 16 lutego do 24 bm. w Kamienopolu pod Lwowem. W program nauki wchodziły wiadomości o przepisach prawnych i skarbowych, odnoszących się do handlu towarów mięszanych w sklepach wiej-

skich, pouczenie w zakresie korespodencyi i rachunkowości, o towarach, sposobie ich rozpoznawania, dalej o urządzeniu sklepu, magazynu i piwnic, ćwiczenia praktyczne w czynnościach sklepowych, wreszcie wiadomości o organizacyi handlowej i organizacyi tow. Kółek rolniczych. Wykładali na kursie lustrator handlowy Kółek rol-



Zgon zasłużonego działacza: Śp. Kazimierz Rojowski, wybitny ziemianin galicyjski, były poseł do Rady państwa.

niczych p. H. Schmidt, kierownik kursu i dr Bronisław Dulęba. Plon sześciotygodniowej pracy na kursie jest zupełnie zadowalający. Wykształcono 32 starszych i młodszych włościan, którzy przybyli z kilku powiatów Galicyi wschodniej, jak z pow. rohatyńskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego, trembowelskiego, a jeden aż z ziemi nowo-sandeckiej. Uroczyste zamknięcie kursu odbyło się w sobotę 24 bm. w obecności zaproszonych delegatów zarządu głównego oraz grona gości przybyłych ze Lwowa.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ W. Borzemski, Lwów.
Kółka rolnicze w pow. lwowskim: Uczestnicy kursu handlowego Kółek rolniczych w Kamienopolu pod Lwowem. W pośrodku kierownik kursu p. Schmidt (1), obok dr. Br. Dulęba (2).

Zgon zasłużonego działacza.

Zmarł we Lwowie w ubiegłym tygodniu jeden z bardzo zasłużonych obywateli, śp. Kazimierz Rojowski (oto jego portret), właściciel dóbr i b. poseł do Rady państwa. Urodzony w r. 1851 w Dolnej Austryi, wychowywał się w kraju, w dworze szlacheckim. Do szkół uczęszczał we Lwowie, poczem wyjechał na studya techniczne do Gracu. Służył następnie przez czas jakiś w wojsku, a wreszcie osiadł na roli, naprzód w Kabarowcach w pow. złoczowskim, potem w Humenowie w pow. kałuskim. Równocześnie rozpoczął służbę publiczną. Ponieważ zaś od młodości studyował kwestye społeczne i ekonomiczne, więc teraz swoje teoretyczne wiadomości począł zużytkowywać w praktyce, przedewszystkiem na korzyść włościan, swoich sąsiadów, a w drugim rzędzie całego społeczeństwa.

Uznano też jego dodatnią pracę w urzędach autonomicznych i w banku rolniczym, którym przez trzy lata jako dyrektor kierował. Miasto Zborów mianowało go honorowym obywatelem, bank rolniczy przesłał mu dyplom dziękczynny.

Złożywszy kierownictwo banku rolniczego, śp. Rojowski powrócił do swego Humenowa i tam rozwinął intensywną działalność nad podniesieniem rolnictwa i przemysłu domowego. Wyroby hafciarskie z Humenowa mają dzięki opiece ś. p. Rojowskiego światową sławę, a własne jego gospodarstwo cieszyło się w całej okolicy opinią wzorowego. Pracował też dalej na arenie życia publicznego. Był mianowicie przez lat kilkanaście aż do śmierci wójtem w swej gminie, był przewodniczącym — i to bardzo dzielnym — kałuskiego oddziału tow. gospodarskiego, był prezesem rady nadzorczej w kałuskiej kasie zaliczkowej, był członkiem wydziału rady powiatowej w Kałuszu itd. W r. 1897 wybrany posłem do parlamentu z kuryi powszechnej, zaznaczył się i we Wiedniu dodatnią działalnością.

Nieboszczyk pozostawił wdowę, p. Ludwikę z Köhlerów.

Wiadomość o przedwczesnym zgonie tego dzielnego obywatela wywołała ogromny żal w całym powiecie kałuskim, a zwłaszcza wśród włościan Humenowskich, którzy mieli w swym dziedzicu nie tylko przyjaciela szczerego, ale prawdziwego ojca. Wyrazem tego żalu był udział w pogrzebie wielu deputacyj z pow. kałuskiego z wieńcami, między temi deputacya włościan z Humenowa.

Cześć jego pamięci!

Kursa buchalteryi dla krakowskich rękodzielników.

Jakie znaczenie ma dla każdego kupca i rękodzielnika umiejętność prowadzenia ksiąg handlowych, o tem, zdaje się, pisać nie potrzeba. Dość



Fot. dla „Nowości Illustr.“ M. Münz we Lwowie.
Morderczy zamach we Lwowie: Trafika Kunza przy ul. Dominikańskiej, na którą nieznany złoczyńca dokonał śmiałego napadu, ciężko zranił trafikanta i zabrał 80 koron z kasy.

wspomnieć, że umiejętność ta jest jednym z głównych warunków dobrobytu i rozwoju przemysłu, tak w naszym kraju mało jeszcze rozwiniętego, chociaż wyroby nasze w pewnych gałęziach nie ustępują bynajmniej zagranicznym. Przewyższa nas zagranica głównie tem tylko, że umie prowadzić interesy i umie małymi środkami dochodzić do wielkich rezultatów. Jeżeli więc chodzi o rozwój naszego przemysłu, — to główną rzeczą jest podnieść naprzód rękodzielników i przemysłowców z zapleśniałych tradycyj i dać im możność oparcia się na pewnych stałych, matematycznie obliczyć się dających podstawach. Myśl tę zrozumiał instruktor stowarzyszeń przemysłowych, dr. Schönett, którego energicznej pracy i staraniom zawdzięczyć należy, że w zeszłym roku, z końcem listopada, otwarto w Krakowie nieznane dawniej w naszym kraju, wykłady dla rękodzielników.

Uroczyste otwarcie wykładów odbyło się w listopadzie zeszłego roku w obecności wiceprezydenta miasta p. Chylińskiego i przełożonych cechów krakowskich. Wykłady rozpoczęły się kursem ogólnym, który trwał do końca grudnia i był niejako przygotowawczym do rozpoczęcia wykładów buchalteryi dla każdego zawodu osobno. Od stycznia więc br. rękodzielnicy krakowscy słuchali wykładów grupami, według zawodów, do jakich należą. Zamknięcie kursów odbędzie się w sobotę, 30 marca.

Frekwencya słuchaczy była bardzo liczna, co chlubnie świadczy o naszych rękodzielnikach. Stosunek między słuchaczami a prelegentami wytworzył się bardzo ścisły i serdeczny. W skład grona nauczycielskiego wchodzili pp.: instruktor stowarzyszeń przemysłowych p. dr Schönett, naczelnik likwidatury miejskiej wydziału obrachunkowego p. Maryan Duszyński, urzędnik banku austro-węgierskiego dr Michał Geisler, naczelnik oddziału rewizyjnego magistratu krakowskiego p. Jan Juliusz Krzyżanowski, i rachmistrz gazowni miejskiej

Andrzej Oleś. Panowie ci z zamiłowaniem i przejęciem udzielali słuchaczom swych fachowych wiadomości, nie szczędząc ni trudu, ni pracy. Że zaś praca ich nie poszła na marne, tego najlepszym dowodem jest fakt, że jeszcze w czasie trwania wykładów wielu słuchaczy-rękodzielników, korzystając z rad i nauki, na kursie nabytej, założyło u siebie księgi na podstawie tego, co tu słyszeli i czego się nauczyli.

Kursa odwiedził delegowany przez Wydział krajowy dyrektor Akademii handlowej ze Lwowa p. dr Pawłowski i znalazł bardzo dodatnie rezultaty. Wykłady odbywały się w salach wyższej szkoły handlowej przy ul. Siennej. Na koszta prowadzenia kursów udzieliły subwencyi głównie za staraniem dra Schönetta Wydział krajowy, Ministerstwo handlu, oraz Rada miasta Krakowa.

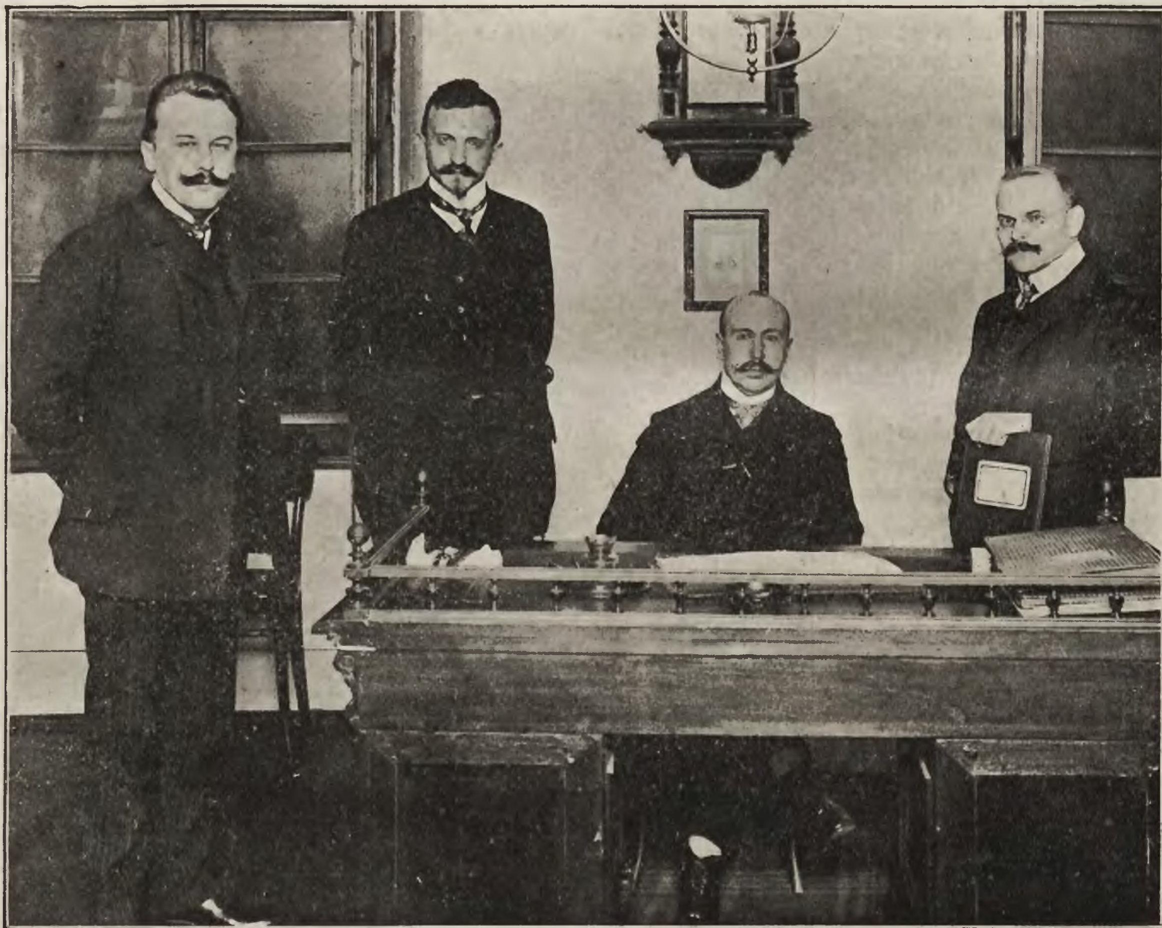
* * *

Z zamieszczonych tu illustracyj jedna przedstawia salę wykładową, w której rękodzielnicy 3 zawodów, mianowicie metalowcy, szewcy i krawcy, słuchają wykładów. Na sali obecny jest dr Schönett i trzej pp. prelegenci: J. Krzyżanowski, M. Duszyński i dr. M. Geisler.

Zdjęcie to dokonane zostało przez naszego specyalnego fotografa o godzinie 9 wieczór, to znaczy po skończeniu wykładu.

Na drugiej fotografii naszej widzimy grono nauczycielskie kursów, zebrane w kancelaryi wyższej szkoły handlowej.

Przy biurku siedzi inicyator wykładów p dr Schönett, obok niego zaś pp. prelegenci: J. Krzyżanowski, M. Duszyński i dr M. Geisler.



Aparatem „Nowości Illustr.“ fot. W. Lis.
Kursa buchalteryi dla krakowskich rękodzielników: Grono prelegentów na kursach: Od lewej ku prawej pierwszy M. Duszyński, drugi J. J. Krzyżanowski, trzeci (siedzący) instruktor stowarzyszeń przemysłowych, inicyator i kierownik kursów, dr. Schönett, czwarty M. Geisler.

Aparatem „Nowości Illustr.“ fot. W. Lis.
Kursa buchalteryi dla krakowskich rękodzielników: Grupa metalowców, szewców i krawców podczas wykładu w jednej z sal wyższej szkoły handlowej w Krakowie; przy tablicy prelegenci z instruktorem drem Schönettem.

Prawybory chłopskie w Królestwie Polskiem.

Jedne z pierwszych prawybory włościańskie w Królestwie Polskiem postaraliśmy się dla Czytelników „Nowości Illustrowanych“ sfotografować aparatem i piórem specyalnego naszego sprawozdawcy jako nowość w rodzaju dokumentu historycznego.

W sobotę 24. t. m. naznaczono prawybory włościan małorolnych (do 20 morgów ziemi włącznie) w 4 miejscowościach na Kujawach w pow. włocławskim, a mianowicie w osadach w Lubieniu i Chodczu, jakoteż we wsiach Śmiłowice i Kowalu.

Obie osady jako typ gminy były najciekawsze.

W Lubieniu odbywały się wybory w kancelaryi urzędu gminnego, w długim parterowym domu murowanym, na którego tle przedstawia illustracya (I) tłum włościan prawyborców i 2 wybranych wyborców, (1) Walentego Michałowskiego, (3) Józefa Janko, wolnego wójta Michała Świętczaka (4) i pełnomocnika gminnego p. Juliusza Waliszewskiego, właściciela dóbr (2).

Włościanie odświętnie ubrani w sukmany granatowe, kożuchy; kilkanaście konfederatek odbija dziarsko od czapek baranich czarnych lub kaszkietów kroju wojskowego.

Na wybory nie stawił się żaden z osadników żydów: nie wierzą w Dumę. Włościanie zapatrują się na nią inaczej, a hasło ich: „trzeba iść, aby tam w Petersburgu żądać wszystkiego, czego potrza dla Polski“. Wiedzą, co to autonomia, czują gwałtownie potrzebę szkół polskich, a tak samo polskiego urzędu gminnego, polskich „sądów i rządów“ — jak mówią.

Radzili rozsądnie w izbie kancelaryjnej zebrani przed stołem, u którego poważnie zasiadło prezydyum.

Wybierali zgodnie „ławą“ na upatrzonych dwu najgodniejszych i najrozsądniejszych, którzy stanęli potem w rzędzie dygnitarzy gminnych, wójta i pisarza. (Illustr. II.)

W osadzie drugiej, w Chodczu, choć wczas zebrało się 180 (na 377) prawyborców, zwlekali długo z wyborami, bo wśród dwu upatrzonych kandydatów, Czupryńskiego Józefa i Paluszkiewicza Józefa, pierwszy nastręczał wątpliwości z tej racyi, że dotychczas siedzi w ... kozie, za czytelnię utrzymywaną w domu u siebie.

Grupę tę liczną wyborców, zebraną przed piąterkowym domem urzędu gminnego przedstawia nasza illustracya III. Jest tu i ksiądz wikary w rogatywce, są czamary, sukmany, paltoty, półkożuszki szare, czarne, granatowe, są czapki, kapelusze, kaszkiety i rogatywki; jest wójt Stanisław Miłecki i pisarz gminny i kandydat Paluszkiewicz (illustr. IV); niema tylko i tutaj żydów, którzy „nie wierzą w Dumę, jak i w Pana Jezusa nie wierzą, choć żył, umarł na krzyżu i nas zbawił“, objaśnia dosłownie jeden z gospodarzy. *Bejot.*

Dygnitarze naszego kolejnictwa.

W ubiegłą niedzielę odbyła się w krakowskiej dyrekcyi kolei państwowych niezwykła uroczystość. W dniu tym bowiem dyrektor kolei, radca dworu Józef Horoszkiewicz, wręczył uroczyście ordery pięciu urzędnikom kolejowym z rejonu dyrekcyi krakowskiej.

Jak wielkie znaczenie ma dla kultury i dobrobytu danego kraju kolej, o tem mówić dzisiaj nie potrzebujemy. — Wystarczy wspomnieć, że sieć kolejowa jest jakby siecią żył w olbrzymim organiźmie, zwanym państwem, siecią żył krwionośnych, a przez to życiodajnych. Dzisiaj, z chwilą, kiedy przestają kursować pociągi, cały organizm państwowy obumiera, traci siły. Widzieliśmy to najlepiej na strejkach kolejowych, jakie niedawno miały miejsce w Królestwie Polskiem i Rosyi. Nic dziwnego, że służba przy kolei jest rzeczą nadzwyczaj uciążliwą, że wymaga ona od funkcyonaryuszy kolejowych prawdziwego zaparcia się siebie i poświęcenia. Trudno wobec tego wytłomaczyć sobie fakt, że właśnie urzędników kolejowych bardzo rzadko spotykają odznaczenia, tak częste w innych urzędach, choć miara zasług funkcyonaryuszy kolejowych jest zazwyczaj znacznie wyższa. Z tej to głównie przyczyny uroczystość odznaczenia aż pięciu urzędników kolejowych i to podległych krakowskiej dyrekcyi, nabrała w sferach naszych kolejarzy znaczenia prawdziwego święta.

Wręczenie odznaczeń odbyło się, jak wyżej wspomnieliśmy, w ubiegłą niedzielę o godzinie 12 w południe. W prześlicznie udekorowanej sali posiedzeń na pierwszem piętrze, wśród mnóstwa kwiatów ustawiono baldachim, od którego czarnego tła odbijał żywo biały biust cesarza Franciszka Józefa I. Na podwyższeniu stanęli dyrektor krakowskiej dyrekcyi kolei państwowych, radca dworu Józef Horoszkiewicz, oraz obydwaj zastępcy dyrektora: Włodzimierz Kostrakiewicz-Zborowski i Leon Solecki. Wnętrze sali zapełnili wyżsi urzędnicy dyrekcyi, w których gronie znajdowali się również odznaczeni. Uroczystość rozpoczął chór, mianowicie Kółko śpiewackie funkcyonaryuszy kolejowych, odśpiewaniem stosownej kantaty, poczem wśród ogólnej ciszy przemówił podniośle, serdecznie dyrektor Horoszkiewicz i we wspaniale opracowanej mowie podniósł znaczenie tej uroczystości, które, według jego słów, streściliśmy powyżej. Podczas wręczania orderów chór odśpiewał „Niech żyją nam“, poczem imieniem odznaczonych przemówił p. Ludwik Hubl. Na załączonej fotografii, zdjętej przez naszego specyalnego fotografa, widać grupę zgromadzonych podczas uroczystości odznaczenia. Na podwyższeniu stoją dyrektor Horoszkiewicz, oraz jego zastępcy pp. Zborowski i Solecki. Przed nimi pięciu odznaczonych, a mianowicie pp.: starszy inspektor kolei państwowej, naczelnik biura ruchowego Ludwik Hubl (otrzymał order Franciszka Józefa), inspektor Władysław Leitner, starszy inżynier Wincenty Pokorny, naczelnik stacyi w Żywcu, oraz lekarz kolejowy Antoni Benda z Dębicy (ci wszyscy otrzymali złote krzyże załugi z koroną), wreszcie inspektor Klaudyusz Dębicki, naczelnik stacyi Kraków, który otrzymał tytuł radcy cesarskiego.

* * *

Druga illustracya przedstawia prezydyum krakowskiej dyrekcyi kolejowej, zebrane w biurze dyrektora Horoszkiewicza. Są tam mianowicie, licząc od strony lewej: Leon Solecki, radca rządu, zastępca dyrektora dla spraw administracyjnych



1 2 3 4 Fot. dla „Now. Ill.“ Kaszubski, Włocławek.
Prawybory chłopskie w Królestwie Polskiem: Na Kujawach w Lubieniu: przed domem urzędu gminnego, miejscem prawyborów, zebrani włościanie-prawyborcy po dokonaniu wyboru; na czele dwaj wybrani wyborcy: Walenty Michałowski (3) i Józef Jankowski (1), oraz wolny wójt Michał Świętczak (4) i pełnomocnik gminy Juliusz Waliszewski, właściciel dóbr (2).



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Kaszubski z Włocławka.
Prawybory chłopskie w Królestwie Polskiem: Na Kujawach w Lubieniu: dygnitarze gminni z urzędu i z wyborów.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Kaszubski z Włocławka.
Prawybory w Królestwie Polskiem: Na Kujawach w Chodczu: grupa wyborców włościan przed domem urzędu gminnego.



Kogo nam zabiorą: Artysta-jubilat Adolf Walewski, długoletni reżyser sceny lwowskiej, a w ostatnim czasie krakowskiej, zaangażowany od przyszłego sezonu przez dyr. Hellera do Lwowa.



Prawybory chłopskie w Królestwie Polskiem: Na Kujawach w Chodczu: dygnitarze gminni z urzędu i z wyborów. (Fot. dla „Nowości Illustr.“ Kaszubski z Włocławka).

radca dworu i dyrektor kolei państw. Józef Horoszkiewicz (siedzi przy biurku) Włodzimierz Kostrakiewicz Zborowski, radca rządu i zastępca dyrektora dla spraw technicznych, wreszcie czwarty dr Julian Praschill, komisarz kolei państwowych sekretarz prezydyalny.

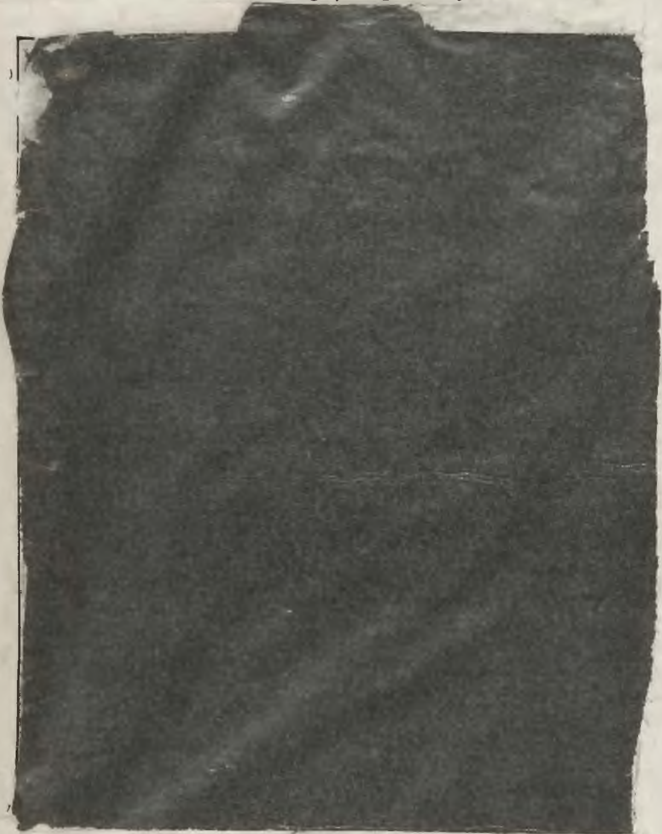
Specyalne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“: własnym aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Dygnitarze naszego kolejnictwa: W sali posiedzeń gmachu krakowskiej dyrekcyi kolei państwowych, uroczystość wręczenia orderów świeżo odznaczonym urzędnikom kolejowym w dniu 25 marca: Na podwyższeniu dyrektor radca dworu Józef Horoszkiewicz, oraz zastępcy dyrektora Włodzimierz Zborowski i Leon Solecki; przed nimi pięciu odznaczonych: st. inspektor Ludwik Hubl, inspektor Władysław Leitner, st. inżynier Wincenty Pokorny z Żywca, lekarz kol. dr. Antoni Benda z Dębicy i inspektor radca ces. Klaudjusz Dębicki, naczelnik stacyi Kraków.

Kogo nam zabiorą.

Kogo nam też Heller zabierze — gruchnęło w światku teatralnym w Krakowie, gdy tylko zjawił się nowy dyrektor teatru lwowskiego. Zaciekawienie było ogólne, nikt nie wątpił bowiem, że następca Pawlikowskiego, organizując na przyszły sezon swój personal sceniczny, musi sobie kogoś dobrać z Krakowa przedewszystkiem.

Czy się pan Heller zdecydował już ostatecznie, kogo właściwie wybrać z aktorów krakowskich, nie wiemy, ani też wogóle pewności co do tego nie będzie aż do chwili podpisywania kontraktów, ponieważ nawet w ostatnim dniu, przy wzajemnej licytacyi, dyrektorska „podwyżka gaży“ ze strony przeciwnej, gotowa od razu rozbić pertraktacye,



Kogo nam zabiorą: Artystka sceny krakowskiej, Ordon-Sosnowska, która według uporczywych pogłosek, przenosi się wraz z mężem do teatru lwowskiego.



Kogo nam zabiorą: Artystka sceny krakowskiej, Irena Solska, którą podobno pozyskał z powrotem dla Lwowa nowy dyrektor Heller.



Kogo nam zabiorą: Artysta i reżyser sceny krakowskiej, Józef Sosnowski, który, według uporczywych pogłosek, przenosi się do teatru lwowskiego.

Specyalne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; własnym aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Dygnitarze naszego kolejnictwa: Prezydyum krakowskiej dyrekcyi kolei państwowych w biurze naczelnego dyrektora w gmachu przy pl. Matejki w Krakowie: Od lewej ku prawej pierwszy, radca rządu Leon Solecki, zastępca dyrektora dla spraw administracyjnych; drugi (siedzi przy biurku) radca dworu i dyrektor kolei państw. Józef Horoszkiewicz; trzeci, radca rządu Włodzimierz Kostrakiewicz-Zborowski, zastępca dyrektora dla spraw technicznych; czwarty, komisarz dr. Julian Praschill, sekretarz prezydyalny.

już doprowadzone do najpomyślniejszego rezultatu — jak to często bywa w teatralnym światku.

Dlatego też wszelkie kombinacye zakulisowe na ten temat nie mogą jeszcze uchodzić za wiadomości nieodwołalne. Ponieważ jednak pismo nasze jest illustracyą chwili bieżącej, przeto musimy niekiedy stawać się echem nawet plotek sensacyjnych, o ile w danej chwili żywiej się niemi interesuje publiczność. A właśnie za plotki mało prawdopodobne uważamy większą część wieści, krążących o ogromnych zmianach, jakie miałyby zajść w składzie osobistym obu naszych teatrów stołecznych. Kogo bo też nie przeniesiono w owych wersyach za — i przedkulisowych ze sceny krakowskiej na lwowską i na odwrót... Byli tacy, co to już na własne oczy oglądali kontrakty podpisane, mimo że dyrektor Heller z nikim jeszcze nie zawarł umowy pisemnej. jakkolwiek — rzecz prosta — traktował z tym i owym i tymczasowo zgodziły się obie strony na wzajemne warunki.

Jedno — jak w tej chwili — nie ulega już wątpliwości, że mianowicie opuści scenę krakowską Adolf Walewski.

Polubiła go publiczność grodu podwawelskiego i żal jej będzie, że traci tego sympatycznego. zawsze pełnego młodzieńczości aktora-jubilata. który snać lat brzemienia nie czuje wcale na barkach. skoro dziś jeszcze umie świetnie i prawdziwie zagrać najmłodszego łobuza z ulicy czy weso łego chłopaka od szewca. Chyba, że praca mrówcza podtrzymuje w tym dzielnym artyście ową wieczną młodość. A zaiste trudno spotkać w aktorskim świecie człowieka równie pracowitego — jak Walewski, przez lat tyle niezrównany reżyser teatru Skarbkowskiego we Lwowie, za różnych dyrekcyj. aż do chwili objęcia nowego teatru miejskiego przez Pawlikowskiego. kiedy przeniósł się na po dobne stanowisko do Krakowa.

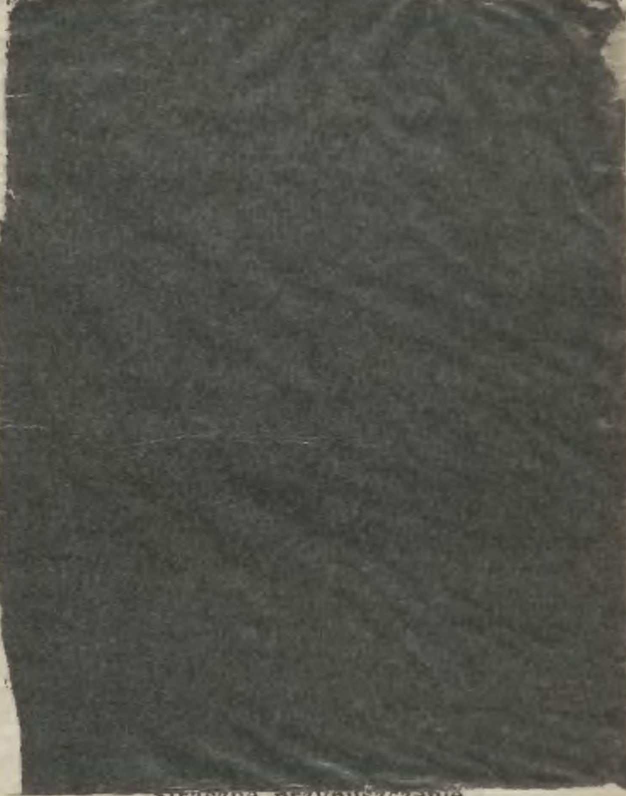
Dziś Lwów cieszy się z pewnością, że do niego wraca chętnie „Waluś“, słusznie zaangażowany na reżysera przez dyrektora Hellera: wiele na tem zyskać może scena lwowska, Krakowianom zaś żal będzie szczerze, że stracą wytrawnego znawcę teatru, doświadczonego reżysera, wybornego aktora i miłego człowieka.

Obok jego portretu podajemy dziś jeszcze Czytelnikom fotografie niektórych artystów, których ma zamiar Krakowowi odebrać nowy dyrektor lwowski, ale ich jeszcze nie żegnamy, nie tylko dlatego, że do końca sezonu będziemy ich bądź co bądź mieli wśród siebie, ale i dla tej przyczyny, że, jak się rzekło, co do innych nie ma jeszcze pewności, czy się ostatecznie przeniosą do Lwowa.



Kogo nam zabiorą: Artysta sceny krakowskiej Zelwerowicz, którego pragnie dla teatru lwowskiego pozyskać nowy dyrektor Heller.

[redacted]



Profesor: — Zeszedłem na dół z Julcią, by wrzucić do skrzynki list, a teraz trzymam go jeszcze w ręku!

Żona (przerażona): — Zlituj się! Chyba w zwykłem roztargnieniu nie rzuciłeś do skrzynki Julci!

Plotki lwowskie.

(Moje restancye. — Sen letargiczny dzienników. — Krakowski apetyt a język p. Grąbczewskiego — Wieczór autorów bez mego udziału. — Co byłbym czytał. — Jatki miejskie a myśl magistracka. — Lwów w kryminale. — Czemu się Grąbczewski zaniedbuje, a czemu dawniej inaczej postępował?).

Mam tak liczne restancye w moich referatach tygodniowych, iż naprawdę nie wiem, od czego zacząć. Wypadałoby zacząć od tej właśnie chwli, kiedy pojawiła się we Lwowie sławna „Chwila“, ósmy cud świata, już przez to samo cudowna, że potrafiła zastąpić aż ośm dzienników i dwa języki, oraz, że zdołała tyle dzienników, nie zawsze w zgodzie żyjących, a nieraz sobie wrogich, połączyć na czas jakiś w bratnim uścisku. Była to wielka chwila, ten czas istnienia „Chwili“: chwila odpoczynku dla dziennikarzy, czytelników, drukarzy i kolporterów, chwila zastoju w lwowskiej filii ósmego mocarstwa świata, chwila rządów zastępczych cudownej „Chwili“. Wszystkie dzienniki i tygodniki popadły w letargiczny sen, czy kataleptyczny „trans“, znikł na chwilę obraz pulsującego tętna życia, wskazówka na dziennikarskim zegarze wstrzymana na chwilę, wszystko jakby skamieniałe...

A jednak nic się przez to nie zmieniło. Wszystko szło naturalnym trybem, nawet tramwaj konny spaźniał się z tą samą punktualnością, tylko dzienniki krakowskie porozlepiały w pośpiechu afisze, ażeby zdobyć teren lwowski dla siebie, a pan Grąbczewski, śpiewając, wystawiał w duszy język wszystkim recenzentom, ciesząc się, że muszą go słuchać, a nie mają gdzie go naciągać.

Minął czas krytyczny, „Chwila“ zamknęła powieki, wszystkie dzienniki obudziły się z letargu, afisze dzienników krakowskich sromotnie zalepiono afiszami lwowskimi, pan Grąbczewski schował język, aby mu go nie pokłuli recenzenci. Tak przeszedł okres wielkiej chwili w światku lwowskiej bibuły.

Skorzystali z tej chwili autorowie lwowscy (niżej lat 30) i urządzili t. zw. Wieczór autorów. Celem jego było publiczności, która ich dotąd czytała i nierozumiała, dać sposobność, aby ich teraz widziała i niesłyszała. Cel został osiągnięty w zupełności. Widziano wiele, nie słyszano nic albo mało, rozumiano jeszcze mniej. Kilkunastu młodych a już znanych, niezrozumiałych, ale znakomitych, mało drukowanych, ale sympatycznych lokatorów lwowskiego Parnasu zajechało na pegazach własnych, najętych lub pożyczonych przed forum czytającej, a teraz słuchającej i nic nie słyszącej publiczności. Efekt był kolosalny. Taki człowiek, którego Muza pocałowała w czoło czy gdzieś tam, zasługuje, by go oglądać, jeśli już koniecznie chce się pokazać. Cóż dopiero, gdy urządzają taką zbiorową ucztę duchową, widzialną, choć niesłyszalną. Mimo zachwytu nikogo nie połknięto, choć aż nazbyt często otwierane do ziewania jamy ustne groziły niebezpieczeństwem.

Nie brałem czynnego udziału w „wieczorze autorów“, więc byliście szanowni Czytelnicy pozbawieni przyjemności oglądania mnie na własne oczy w całej rozciągłości, podziwiania mojej facyaty i zachwycania się moim głosem. Inna rzecz, że sam wieczór autorów byłby grubo zyskał na wartości i znaczeniu. gdyby jego aranżerowie do szeregu „znakomitych i znanych“ byli wcielili i moją znakomitość. Proszę sobie wyobrazić, ile splendoru byłbym dodał tej uczcie duchowej, ja, który z Grąbczewskim jestem per „ty“, z Gautschem już nieraz ściskałem się we śnie, a Michalskiemu język pokazuję za plecami. Nie zrozumieli się niestety na mojem znaczeniu w życiu politycznem i pominęli mnie z wielką szkodą dla siebie. Nie byłbym może śpiewał takim śmietankowym mezzo sopranem, jak pani Olga B., w której „Morzu“ omal nie potopili się słuchacze, nie byłbym może modlił się półszeptem, jak p. Kazecka, ani rzucał światła łysiną, jak pan Makuszyński, ani zdradzał tajemnic własnej twórczości, jak najdowcipniejszy ze wszystkich Zbierzchowski („co nie można, to nie można“...); ale za to byłbym wyszedł uroczyście jak Żuławski na estradę i odczytałbym z uczuciem dla licznie zebranych pań i panienek jakiś nastrojowy ustęp z arcydzieła śp. pani Lucyny Ćwierciakiewiczowej pt.: „Klementyna i Wanda, czyli 365 obiadów“, a na bis odczytałbym traktat ekonomiczno-magistracki: „Jatki miejskie w bajce“. Tego rodzaju temat byłby z pewnością wyszedł na pożytek niejednej pięknej słuchaczce.

Ostatni zwłaszcza temat byłby bardzo na czasie. Magistrat lwowski na ostatniem posiedzeniu oświadczył się stanowczo przeciw założeniu jatek miejskich. Jaką drogą szła myśl magistracka, aż doszła do tej uchwały, nic nam niewiadomo — na zewnątrz wydostał się tylko sam rezultat. Nie jestem rzeźnikiem, więc nie umiałbym wskazać złych stron założenia jatek miejskich, ale za to, należąc do mięsożernych konsumentów, znam wszystkie strony dobre. Tem więcej zdziwiła mię ta uchwała. O ile mi wiadomo, w magistracie naszym nie zasiada żaden rzeźnik, któryby popchnął tok obrad na tory prowadzące do ostatniej uchwały. Bądź co bądź musiała tu działać pamięć ostatniej mowy radnego Mokrzyckiego, który wymownie a szlachetnie występował przeciw umiastowieniu różnych instytucyj. jak tramwaj, teatr, jatki, pralnia, zakład pogrzebowy, Colosseum i Fotoplastikon.

Jeśli wrażenie tej uchwały magistrackiej nie było zbyt wielkie, to zawdzięczamy to jedynie tej okoliczności, że część Lwowa siedzi w tej chwili w kryminale. Policya, szukając za rzezimieszkiem, który usiłował zamordować trafikanta z ulicy Dominikańskiej, zamyka każdego, kto jej się wydaje podejrzanym, a że we Lwowie bardzo wielu wygląda podejrzanie, więc już w dzień po tym wypadku zamknięto kilkadziesiąt osób. Gdyby sprawcy nie wykryto do tygodnia, to należy się obawiać, że na samego „Prima Aprilis“ będziemy wszyscy w kryminale i to pod zarzutem usiłowanego skrytobójczego morderstwa. W furdygarni będzie ścisk nie do opisania, a w mieście nie znajdzie się dziesięciu sprawiedliwych z wyjątkiem pana Grąbczewskiego.

Mój przyjaciel p. Grąbczewski, który do niedawna tak bardzo zajmował sobą opinię publiczną i sądy lwowskie, od kilku dni bardzo się zaniedbuje. Ani nie słychać, żeby w ostatnich dniach wyrzucił któregoś śpiewaka, ani nie złupił żadnej śpiewaczki, nie zostawił na bruku żadnego dyrygenta nie stawał w ostatnim tygodniu w sądzie, jednem słowem, próżnuje. W każdym razie p. Pawlikowski powinien w to wglądnąć i złe czempręg dzej naprawić, bo przez takie postępowanie pana Grąbczewskiego nasza opera narażona jest na straty przez brak reklamy. Jak wiadomo, nigdy dotąd żaden sezon operowy nie cieszył się takiem powodzeniem, jak obecny. co głównie zawdzięczamy panu Grąbczewskiemu. Publiczność lwowska a nawet prowincyonalna chciała koniecznie zobaczyć i usłyszeć tego, o którym tyle czytała. Niech to będzie wskazówką dla przyszłego kierownika opery lwowskiej. Teraz dopiero na jaw wychodzi, dla czego p. Grąbczewski tak postępował. Dziś, skoro już jest na wyjezdnem i na reklamie mu nie zależy, opuścił ręce i odpoczywa na banknotach lwowskich... Powiedzcie, czy to nie filut...

Kleve.



Franciszek i Magdalena Dulongowie.

Po długim szeregu skrzypków, którzy w tym sezonie muzycznym nawiedzili Galicyę w ogóle a Kraków w szczególności, pożądanem urozmaiceniem będzie niewątpliwie produkcya wysoce interesującej pary artystów śpiewaków: a to państwa Dulongów, tenora i mezzo-soprana.

Państwo Dulong są jakby zaprzeczeniem znanej teoryi uzupełniania się wzajemnego, a równocześnie także negacyą niechęci zawodowej, tak częstej w dziedzinie sztuki w ogóle, a śpiewaczej w szczególności. Widocznie dwie te natury artystyczne-śpiewacze muszą być poza małżeństwem, ożywione prawdziwą miłością dla sztuki, rzetelnym,



Franciszek Dulong.

pełnym entuzyazmu zapałem dla niej, skoro od lat już kilku pracują z coraz większym sukcesem na jej niwie, zbierając coraz większe uznanie prasy, tudzież publiczności i dorzucając do swych trofeów coraz to nowe i świetne listki wawrzynu. Występy państwa Dulong są w świecie koncertowym cenione i to bardzo wysoko z innych jeszcze, czysto muzycznych względów. Sympatyczna ta para śpiewaków reprodukuje bowiem poza popisami solowemi, także, tak rzadko słyszane dziś z estrady koncertowej, duety, które oddają z nieporównaną maestryą i zupełną abnegacyą własnego popisu, na korzyść jaknajświetniejszego wykonania i artystycznego sukcesu.

Słowa te, kreślimy na podstawie całych setek świetnych referatów i krytyk zagranicznej prasy codziennej tudzież fachowej, stawiającej produkcye państwa Dulong na bardzo wysokiem niveau artystycznem.

Pani Magdalena Dulong przed swem zamążpójściem występowała z wielkiem powodzeniem w Niemczech pod pseudonimem Magdy Lossen, wspólnie ze znaną i cenioną, nieco od siebie starszą śpiewaczką Zuzanną Triepel. Koncerty dawane przez obie artystki cieszyły się tak wielkiem powodzeniem w Niemczech, że spowodowały zaproszenie obu śpiewaczek do Anglii, gdzie nagrodą za trudy, tudzież za sztukę, było olbrzymie powodzenie artystyczne, jakie towarzyszyło obu tym śpiewaczkom. Mimo jednak drugorzędnej roli, jaką z natury rzeczy musiał spełniać obok sopranu, mezzosopran, a raczej alt p. Dulong, stawiano jej produkcye wyżej, aniżeli jej towarzyszki, oddając zarówno dźwiękowi gładkiemu, czystemu i nader miłemu, jak niemniej świetnej szkole, gorące pochwały.

P. Dulong córka dra teologii A. Zahna, przyszła na świat w Halle nad S. (29/2 1872). Jako kilkuletnia dziecina zdradzała olbrzymie zdolności muzyczne, ucząc się gry na fortepianie i skrzypcach. Po skończonym ośmnastym roku życia rozpoczęła studya wokalne najpierw u prof. Hromady w Stuttgarcie, następnie zaś u Amalii Joachim w Berlinie. Wykształcenia wokalnego wybornej tej śpiewaczki dokonała słynna maestrina i niepośledniа artystka niemiecka Etelka Gerter, u której spędziła pani Dulong ostatnie trzylecie swych studyów wokalnych. Odbywszy kilka wycieczek artystycznych po Niemczech i Anglii najpierw w pojedynkę, następnie z śpiewaczką p. Triepel, zaślubiła w r. 1896 znakomitego już wówczas tenora a obecnie swego partnera i męża i odtąd dzieli z nim stale artystyczną dolę i niedolę.

Pan Franciszek Dulong, syn tajnego radcy regencyjnego z Hamm w Westfalii (ur. 26/2 1861), stosownie do woli ojca, typowego urzędnika pruskiego, miał zostać gospodarzem i pracować na ojczystym, dość znacznym majątku. Lecz we krwi Dulongow tkwiło wiele artystyczno-muzycznych pierwiastków, które nie pozwoliły pomazańcowi sztuki zostać zwykłym hreczkosiejem. Ród Dulongów posiadał pomiędzy antenatami znaczną ilość wysoce uzdolnionych i dystyngowanych amatorów, a także i kilku wirtuozów, wśród których zasłynął znakomity flecista Ludwik Dulong (1769—1826).

Podczas studyów na wydziale agronomicznym w Stuttgardzie uczęszczał Franciszek na lekcye śpiewu do poważanego tamże nauczyciela Roberta Emericha. Po kilkuletniej nauce wyjechał na południe, a zatrzymawszy się we Florencyi, strawił lat kilka na studyach wokalnych u maestra Vannuciniego.

Pierwszy występ Franciszka Dulong odbył się w Londynie. Młody śpiewak wziął wówczas udział w t. z. „Munday Popular Concerts“ i od pierwszego występu ujął sobie chłodną publiczność angielską tak, że niebawem zaproszono go do Windsoru na „Intime-concertes“ urządzanych dla królowej Wiktoryi i jej otoczenia. Po takich odznaczeniach i artystycznych i towarzyskich, karyera młodego śpiewaka była zapewnioną. Powróciwszy do Berlina, śpiewał Dulong z powodzeniem w ca-



Magdalena Dulong.

łych Niemczech, ciesząc się gorącem uznaniem zarówno słuchaczy ukoronowanych, jak i rekrutujących się z grona zwykłych śmiertelników. Małżeństwo z jedną z najwybitniejszych śpiewaczek estradowych umocniło sławę obojgu i stworzyło z nich wyborny zespół duecistów, przyjmowany wszędzie z radością a oklaskiwany z zapałem.

Galicyę odwiedzają państwo Dulongowie po raz pierwszy w przyszłym tygodniu. Będą więc mieli sposobność nasi nadwiślańscy śpiewacy przekonać się, o ile sława głośnych artystów jest zasłużoną a ich sztuka wielką. *— .urs. —*

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

31 (Dokończenie).

— Niech-no się pan tak nie śpieszy, mój kochany mister Parker! Mam nadzieję, że teraz nie wykręci mi się pan tak łatwo, jak przed paru miesiącami w Hamburgu.

Teraz zdemaskowany zbrodniarz poznał komisarza, ale był dość bity, żeby umieć się znaleźć w sytuacyi.

— No tak! — rzekł obojętnie — ja przecież nie zaprzeczam, że jestem tym samym Parkerem, który z powodu śmierci Rudolfa Springera poznajomiłem się z tymi dwoma panami. Mam zaś osobiste swoje powody, żeby tu zachować incognito i ciekaw tylko jestem, jakiem prawem śmiesz mnie pan napastować i zasypywać groźbami?!...

— Jakiem prawem? — krzyknął komisarz. — Prawem zastępcy sprawiedliwości, który morderców więzi tam, gdzie ich spotka. W imieniu króla aresztuję was wszystkich!

Springer jak martwy osunął się na fotel; doktor Harras kurczowo miął akty, leżące na jego biurku, a Parker, choć zbladł jak ściana, nie stracił swej bezczelności.

— Żart niezbyt udany! — rzekł do komisarza. — Ogromnie jestem ciekaw, jakie to właściwie popełniłem morderstwo? Możeby pan był tak łaskaw...

Nie dokończył, słowa zamarły mu na ustach, bo komisarz otworzył drzwi i zbrodniarz dojrzał w progu Stefana Klausa, skutego w łańcuchy, otoczonego przez kilkunastu żandarmów.

— Klaus! — rzekł komisarz z naciskiem, wskazując na Parkera — czy to jest ów człowiek, który umówiwszy się wprzód z tobą, przyprowadził do twej szynkowni Amerykanina Rudolfa Springera, tam go uśpił przy pomocy chloroformu, a potem z twą pomocą po przeszukaniu wszystkich kieszeni ofiary, przewiózł go łódką do przystani i tam rzucił do wody?...

Parker dawał Klausowi znaki, aby milczał, ale ten, zgodziwszy się już z swym losem, który spotkał go głównie na podstawie szczerych zeznań żony, rzekł swym chrapliwym głosem:

— Tak! Do spółki z tym człowiekiem i na jego propozycyę zamordowałem starego Amerykanina!...

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Żandarmi w tej chwili skuli wszystkich trzech przestępców i uprowadzili ze sobą. Po drodze Parker usiłował wyrzucić cichaczem swój portfel z papierami, ale dostrzeżono ten manewr i dowody, obciążające zbrodniarzy, zwiększyły się znowu. Następnie przy rewizyi w kancelaryi doktora odkryto w tajemniczym schowku biurka i owe papiery, o których wspomniał stary Najpert Helenie.

Wobec tego Parker postanowił nie zapierać i zaraz przy pierwszem przesłuchaniu wyznał szczerą prawdę. Franciszek Spinger nie mógł być badany, bo zmarł na atak apoplektyczny tej samej nocy, w której żandarmi dostawili go do więzienia. Tylko sam doktor Harras wypierał się swej winy i przedstawiał jako niewinna ofiara szkaradnej intrygi; nie było jednak wątpliwości, że sędziowie przysięgli wydadzą nań wyrok potępienia, wspierając się na bogatym materyale dowodowym. On sam jako prawnik czuł to najlepiej i pewnego poranku dozorca więzienia znalazł tylko trupa jego w kaźni. Doktor obwiesił się na kracie w oknie i tak sam sobie odebrał życie.

Cezarowi Springerowi nie można było udowodnić udziału w tej zbrodni i sąd nie wysłał za nim listów gończych, choć mógł był go ścigać za pojedynek z Archerem, w którym naruszył umówione warunki.

Klaus i Parker przy rozprawie skazani zostali na śmierć z ręki kata, w drodze łaski jednak zmieniono im potem tę straszną karę na dożywotnie więzienie i obaj po długich latach w więziennych murach zakończyli swe życie.

Pani Amelia Springer wraz z Albertyną skryła się w jakiemś małem miasteczku i tam zdala od ludzi pędziła życie z małego mająteczku, jaki jej pozostał.

A Helena jako żona Archera i prawie milionowa pani odjechała do Ameryki.

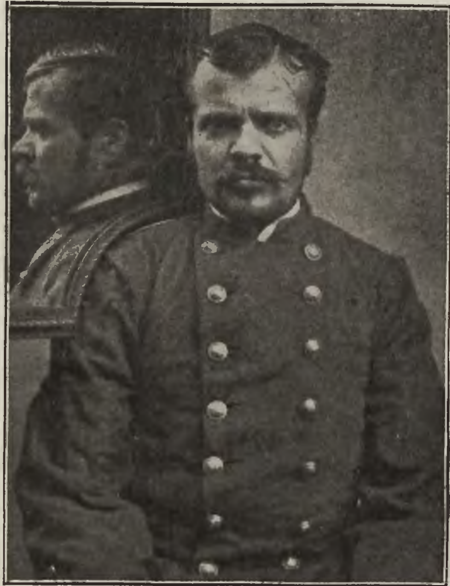
Dzielny komisarz Berman towarzyszył im aż na okręt, którym się mieli przeprawić przez ocean.

Obaj mężczyźni pożegnali się tak serdecznie jak starzy przyjaciele, a gdy komisarz z szacunkiem skłonił się przed Heleną, młoda mężatka zapłoniła się jak róża i — wycisnęła braterski pocałunek na jego ustach.

KONIEC.

Niebezpieczny rzezimieszek.

Policya krakowska aresztowała niedawno niebezpiecznego rzezimieszka, który przez dłuższy czas grasował po Krakowie. Niktby nie uwierzył, że ten Jan Pietrzak, którego fotografię obok podajemy, potrafił kilkanaście dziewcząt oszukać, wykpić od nich większe nawet sumy pieniężne, a to wszystko pod przyrzeczeniem małżeństwa. Czem wywierał taki urok na swoje ofiary, że pozwoliły mu poić się ich krwawo zapracowanym groszem, niewiadomo. Pietrzak nie odznacza się bowiem ani nadzwyczajną urodą, ani też niepo-



wszedniemi zaletami umysłu, z wyjątkiem chyba sprytu, którego mu nie brakuje i którego dał mnóstwo dowodów w czasie swojej karyery jako narzeczony kilkunastu naraz służących. Samo jednak „narzeczeństwo“ nie przynosiło mu odpowiednich dochodów, bo służące, wśród których grasował, nie mogły mu dostarczać pieniędzy na każde zawołanie, gdyż same ich dużo nie miały. Pietrzak chwycił się więc innego sposobu zarobkowania. Chodził od domu do domu i namawiał gospodynie do kupowania odeń po bardzo taniej cenie cielęciny, przedstawiając się jako pośrednik rzeźników rzeszowskich. Naturalnie, cho1ziło mu tylko o zdobycie zadatku, a interes szedł mu z początku dobrze, bo wobec drożyzny mięsa w Krakowie, każda gospodyni łakomiła się na „tanią cielęcinę“. Przedstawiał się również jako konduktor kolejowy i oferował łatwowiernym dostarczanie węgla kolejowego po znacznie zniżonej cenie. W ten sposób wyłudził od całego szeregu osób pieniądze, aż nareszcie zajęła się nim policya i niebezpiecznego ptaszka zamknęła pod klucz.

Jan Pietrzak liczy lat 32. Pochodzi z Żywca. Był czeladnikiem szewskim, ale „zmierziła“ mu się uczciwa praca, więc puścił się na śliską drogę przestępstw. Był już dwa razy karany za kradzież, raz za oszustwo. Przed kilku zaledwie miesiącami, bo w grudniu zeszłego roku, wyszedł z więzienia, gdzie odsiadywał dłuższą karę za oszustwo i już za kratki powrócił.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożyła Zetka.

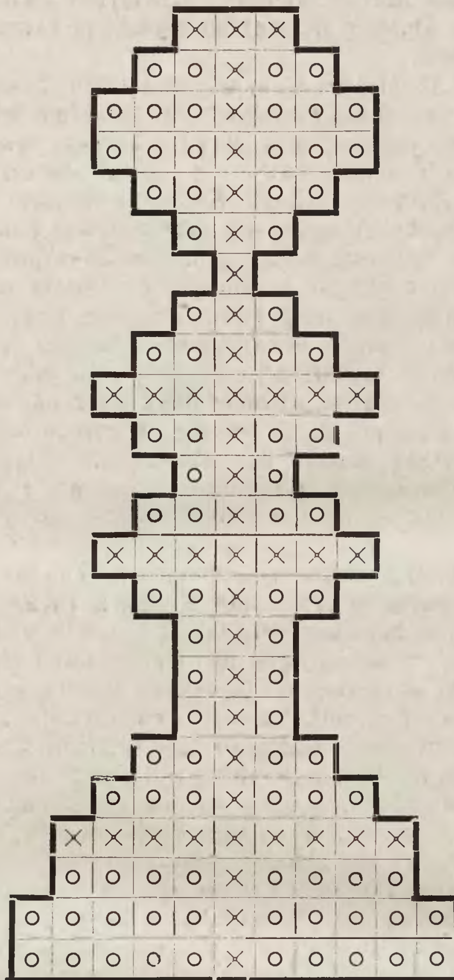
Ze zgłosek: a, a, bel, cha, der, do, dwich, gat, gła, głów, i in, ki, kö, ł, mar, me, mi, mu, na, ni, nu, nyks, o, ar, radz, re, rek, res, ru, s. sa, sad, san, sie, stan, sze, sy, te, te, to, ty, u, wa, wer, wei, wicz, zło, zó — ułożyć ośmnaście wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko znakomitego kompozytora polskiego, a litery końcowe, czytane również z góry na dół, tytuły jego dwóch wspaniałych oper.

Znaczeni ewyrazów: 1. Grupa wysp na oceanie Wielkim. 2. Imię żeńskie. 3. Ofiara Kaina. 5. Człowiek, zanurzający się w wodę. 6. Miasto na granicy czesko-morawskiej. 6. Nazwisko znakomitego twórcy „Świeczników Chrześcijaństwa“. 7. Dwie spółgłoski. 8. Drogi kamień. 9. Miasto rodzinne Goethego. 10. Owad w lecie pospolity. 11. Odmiana agatu. 12. Słynny historyk polski w XVIII. w. 13. Inaczej Indye wschodnie. 14. Wyższe zakłady naukowe. 15. Ogród z drzewami owocowymi. 16. Nazwa wschodniej materyi jedwabnej. 17. Stacya na pograniczu Galicyi i Węgier. 18. Inaczej odznaka.

Kryptogryf.

Ułożyła K. Piotrowska Lwów.

W miejsce kółek i gwiazdek wstawić litery w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół utworzyły imię i nazwisko największego poety polskiego, oraz tytuł najdoskonalszego jego utworu, zaś gwiazdki w pierwszym rzędzie pierwszą, a w rzędzie dziesiątym drugą połowę jego utworu; gwiazdki w rzędzie czternastym i dwudziestym pierwszym utworzą tytuły dwóch jego poematów.

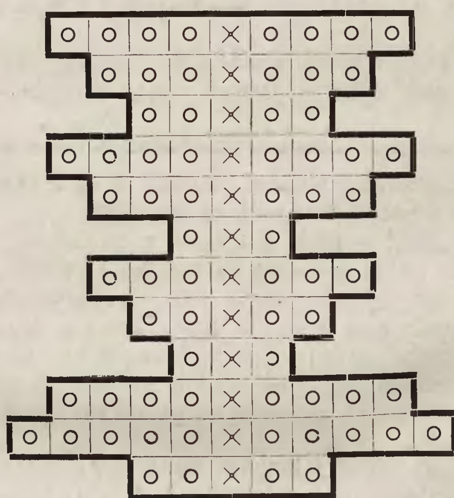


Znaczenie wyrazów: 1. Pierwsza połowa tytułu największego poematu polskiego. 2. Inaczej znak. 3. Inaczej silny wicher. 4. Człowiek pracujący za dzienną zapłatą. 5. Inaczej pieniądze, bogactwo. 6. Zwierzę. 7. Samogłoska. 8. Słynny generał japoński. 9. Czas największej pracy dla wieśniaków. 10 Druga połowa tytułu wspomnianego poematu. 11. Przyrząd mechaniczny, służący do podnoszenia ciężarów. 12. Rzeka w Egipcie. 13. Słynny historyk rzymski. 14. Tytuł poematu wspomnianego poety. 15. Inaczej kwit. 16. Oprawca. 17. Rzeka w Austryi górnej. 18. Liczebnik. 19. Połączenia kości w ciele ludzkiem. 20. Król jerozolimski wsławiony w czasie pierwszej krucyaty. 21. Tytuł drugiego poematu wspomnianego poety. 22. Słynny kompozytor polski. 23. Okolice podbiegunowe. 24. Nazwisko przyjaciela wspomnianego poety.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: bal, cyt, cza, de, dło, du, e, fy, gan, go, gra, hu, in, inn, ka, kat, ko, ku, ku, le, len, lis, ma, mi, mne, mo, mon, na, naj, mil, niusz, o, pan, pon, ra, resz, rod, sta, sto, stre, ta, ta, ta, usz, wa, wal, war, we, wy, zi, żni, ży.

Zagadka.

Ułożył J. W. Kaczorowski Bolechów.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły dwa wyrazy, obecnie często używane.

Znaczenie wyrazów: 1. Stolica Węgier. 2. Część świata 3. Słynny poeta niemiecki, zmarły przed 50 laty, autor prześlicznej „Bunt der Lieder“. 4. Jedna z głównych zalet młodocianego wieku. 5. Miejsce kąpielowe w Galicyi. 6. Największy dopływ Wisły. 7. Wielki żal. 9. Zwierzę znane z chytrości. 10. Część wielkiego miasta. 11. Nazwa miesiąca. 12. Prezydent węgierskiego parlamentu.

Jako nagrodę na dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya **2 funty karmelków** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 11.

Szarada.

Cytryna.

ZAGADKA.

Na polu chwały.

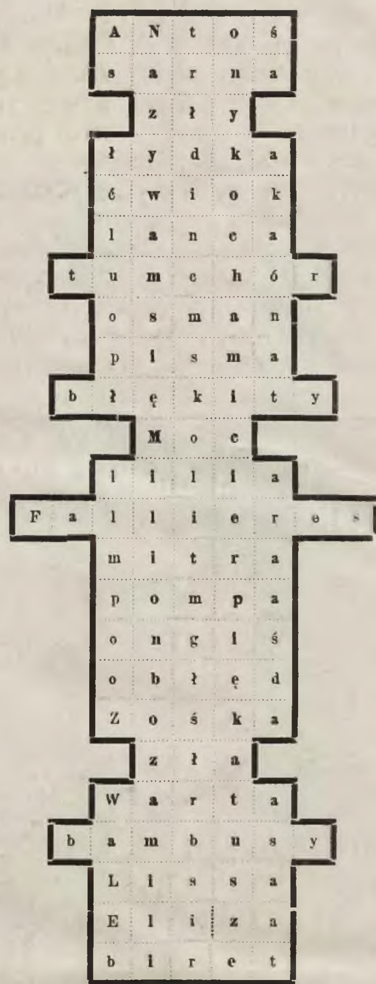
Logogryf.

Juliusz Słowacki — Książę Niezłomny.

Arytmogryf.

Kornel Ujejski.

Kryptogryf.



Nazywam się Milion, bo za miliony Kocham i cierpię katusze.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: A. Macherska Częstochowa, J. Sulkowski Kraków, J. Aleksandrowicz Kraków, I. Pompianka Kraków, B. Ramułtowa Jeżów, J. Jachimski Kraków, St. Kozłowski Lubaczów, J. Robak Kraków, St. Pileski Halicz, J. Czechowicz Mikołajów, F. Kulesza Kraków, A. Miłkowski Bełz, J. Duszyński Bochnia, J. Bojuk Bełz, Siła Nowiccy Sokal, K. Fuchs Peczeniżyn, St. Mroczkowski Kowalowy, J. Malik Bolechów, Stasia Smalawska Stare Sioło, Z. Żukiewicz Sambor, ks. M. Sztyrak Złoczów, M. Radlmesserówna Swoszowice, L. Kocyan Maków, G. Janiec Buczacz, J. Białkowski Gaje, L. Seimówna Kraków, J. Lipińska Okno, K. Bobek Kraków, Z. Szymczakowska Kraków, J. Kulczyńska Kraków, M. Weimerowa Nowy Sącz, J. Jaroszkówna Nowy Sącz, O. Piotrowska Kraków, N. Auerówna Podgórze, M. Oberska Grzegórzki, J. Wodziczkówna Germakówka, H. Leligdowicz Fraga, M. Cetera Dubiecko, St. Szwabowicz Żurawno, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno, A. Batko Lwów, W. Wąsikiewicz Wiśnicz, Wł. Nowiccy Wiśnicz, Kasyno Rozwadów, M. Zoellner Rozwadów, H. Banke Kraków, M. Szulcowa Kraków, Kuszpeciński Kraków, J. Niewiarowska Kraków, J. Bielawski Brzeżany, L. Fortuna Kęty, M. Kroó Kraków, Bl. Pieterkiewiczowa Czerniowce, M. Arbesbauer Lwów, K. Jurkiewicz Tłumacz, J. Rodakowska Kulików, St. Dobrzyniecki Stanisławów, M. Opolska Czarny Dunajec, A. Miesesówna Przemyśl, E. Mroziński Mosty wielkie, M. Gerstman Dobrostany, H. Ulrych Malin, K. Traczewski Hinowice, St. Palczewski Felsztyn, W. Żralski Podgórze, K. Weinarówna Przemyśl, S. Miszke Kęty, E. Byszewski Kraków, M. Niebieszczański Halicz, Fr. Milk Żyrardów, J. Reczyński Radymno, Kasyno Wojniłów, Al. Bocsoń Bóbrka, A. Zielińska Manajów, R. Bielewicz Dubiecko, K. Chodkiewicz Zbydniów, E. Bogdalska Koropuż, M. Rożański Gorlice, T. Tchórzewscy Lwów, Drzymalik Bobrówka, St. Wysocka Dąbrowa, Z. Ciechanowska Stary Sambor, H. Karatnicka Nadwórna, ks. L. Czapieński Radłów, A Mussil Lwów, K. Morawska Dynów, T. Domain Sanok, Br. Krzaklewski Kahujów, W. Czechowski Tarnów, W. Stanula Samocice, H. Mokrzycka Turbia, S. Dydacka Żurawno, H. Szczerbowa Majdan, K. Polunkiewicz Brzeżany, M. Bossowska Bistoszowa, W. Remiszewski Załawie, J. Świerczewska Lwów, W. J. Czaczka Rzeszów, M. Zintlowa Brody, Fr. Kalita Gawłuszowice, St. Grodeccy Leżajsk, Żerlak Trzebinia, St. Łaszkiewicz Dębica, Popiel Buczacz, K. Jasiński Sambor, Fr. Piotrowicz Ciężkowice, F. Jeleński Nowy Targ, Wł. Karatnicki Worochta, St. Waśniewski Kosów, ks. M. Suski Brzezie, A. Waranka Kocmań, H. Plechawska Stanisławów, J. Badura Rożdzień, J. Wiśniowski Kraków, J. M. Kudas Krempna, B. Meszyński Drohobycz, J. Ramoszyńska Borysław, B. Klemensiewicz Kraków, Wł. Kisielewski Stryj, M. Kozłowska Busk, P. Nowiński Tarnów, L. Śniegocki Zakopane, Wł. Hałdziński Lichwin, J. Sarama Milówka, A. St. Bassara Niwiska, C. Głębocki Kraków, H. Doening Schodnica, J. Dobrzański Kołomyja, Wł. Halkiewicz Czerhawa, J. Kobylański Honiatycze.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **F. Kulesza w Krakowie.**

Kącik humorystyczny.

Nasze dzieci.

Julcia płacze i nie chce pójść spać, bo się boi być sama w pokoju sypialnym.

— Nigdy nie jesteśmy sami — poucza mama — Bozia zawsze jest z nami.

Wkrótce po ułożeniu Julci do snu, rozlega się rzewny płacz:

— Mamusiu—szlocha mała — ja i Bozia tak okropnie się nudzimy!